Nr. 16. Warszawa, dnia 18 (6) Kwietnia 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZA MILION FRANKÓW.

Chyba najzagorzalszy przyjaciel Milana nie powie o nim: w każdym calu król; natomiast sprawiedliwy sędzia rzec może: w każdym calu niepoń. Usuwając na bok idee, do których się przyczepiał, a które budzić mogły sympatyę, pomyślmy tylko, ile złego ten człowiek wyrządził swemu krajowi i jak sromotną odgrywa rolę po złożeniu korony. Zrujnował naród materyalnie, poddał go w zupełną zależność ekonomiczną od Austryi, popchnął do nieszczęśliwej wojny z Bułgaryą, zawichrzył sporem z żoną i zbiedniały, zmącony waśniami porzucił, osadziwszy po sobie na tronie dziecko. Abdykacyę swoją sprzedał za drogie pieniądze, a zamiast czuwać nad wychowaniem i rozwojem syna, zamiast otoczyć go troskliwą opieką, w interesie ojcowskim, obywatelskim i politycznym, powierzył go ludziom obcym, sam zaś wyjechał do Wiednia, Paryża, Monte Carlo, ażeby tam hulać, romansować, nurzać się w rozpuście i przegrywać pensyę, którą mu dawni poddani z krwawo zapracowanych groszów wypłacają. Jeżeli zaś czasem odwiedzał ojczyznę, to tylko dla wywołania zamętu, spłatania figla żonie i wytargowania nowej zapomogi. Po za komedyą, odgrywaną przed ukoronowanym synem, nie zajmował się on nim więcej, niż dymisyonowaną kochanką. Ale ostatnia jego wyprawa do Serbii była szczytem lekkomyślności i mizeroty moralnej. W liście publicznym oskarżył swego byłego ministra, Garaszanina, o zgładzenie w więzieniu dwu kobiet, z których jedna do niego strzelała. Naturalnie wszystkim uczciwym ludziom nasunęło się pytanie, dlaczego Milan, jako król, nie pociągnął natychmiast mordercy do odpowiedzialności; dlaczego taił jego zbrodnię, czy też swoje podejrzenia przez lat dziewięć; dlaczego teraz dopiero odkrył krwawą tajemnicę? Do tych pytań, od których pada na byłego władcę serbskiego gruby cień, dołączyło się wzajemne oskarżenie Garaszanina, który na niego zwalił winę śmierci dwu kobiet. I czemże on odparł ten zarzut? Nie usprawiedliwił się z niego, jak nie wyjaśnił powodu swego długoletniego milczenia. Nie mógł tego uczynić, bo zbyt był zajęty inną i bardziej go obchodzącą sprawą — targiem o zapłatę za dobrowolne wygnanie się z kraju. Bezwstyd ten został objawiony publicznie, więc możemy o nim pomówić.

Ani jednorazowa łapówka za abdykacyę, ani roczna pensya nie wystarczała Milanowi, który potrzebował opłacać lichwiarskie procenty od długów, a przytem żyć zbytkownie. Zrzekłszy się tronu, nie miał nic do zbycia, prócz swobody odwiedzania kraju i syna, kiedy mu się podoba. Otóż to jedyne prawo, niemal całą resztę honoru postanowił sprzedać i sprzedał. Przed kilku dniami na posiedzeniu skupczyny prezes odczytał list, w którym Milan zobowiązuje się nie przyjeżdżać do Serbii, zanim jego syn zostanie pełnoletnim, za co otrzyma milion franków. Historya nie zna podobnie jawnej kompromitacyi. Płacą gospodarze koniokradom, ażeby omijali ich stajnie, płacą rodziny hańbiącym ich krewniakom, ażeby mieszkali zdala od nich, płacą matki występnym córkom, ażeby nie krzywdziły sióstr blizkim pobytem; o tem wszakże, ażeby były król wziął pieniądze za nieprzyjeżdżanie do kraju, którym rządził i w którym panuje jego małoletni syn—nikt chyba jeszcze nie słyszał. Może ludzie podobnego charakteru i stanowiska robią rzeczy gorsze i zobowiązują się do bardziej upokarzających, ale przynajmniej okrywają je tajemnicą i wstydem. Milan odrzucił najdelikatniejsze zasłony, tranzakcyi swej dokonał przed całym światem i przeprowadził ją przez wszystkie drogi jawności—przez sejm i prasę. Ile jest dzienników politycznych, tyle ogłosiło swym czytelnikom, że byłemu monarsze serbskiemu dano milion franków odczepnego, że on za to wyzuł się z prawa pobytu w ojczyźnie i widywania syna, który go podobno kocha i który zajął jego miejsce na tronie. Czy patrzeć będziemy na niego jako na ex-króla, czy jako na obywatela, czy jako na ojca, czy jako na człowieka, z każdej strony wyda on nam się ohydnym. Pojmujemy, że mogłyby zdarzyć się wypadki, w których taka ofiara byłaby uczciwa, rozumna, zaszczytna, nawet wspaniała, ale nigdy sprzedana za milion franków. Wobec ceny, wyrażonej w pieniądzach, traci ona wszelkie rysy moralne i staje się najcyniczniejszym handlem.

Nie podzielano antypatyi serbów do swego ex-króla i przyznajemy, że w wielu punktach uważaliśmy ją za bezzasadną i błędną. Po tym wszakże czynie zeszedł Milan na tak nizki poziom charakterów ludzkich, że już mu niewiele stopni pozostało. Kiedy odczytywano jego list w skupczynie, rozległy się szydercze śmiechy i wołania: szczęśliwej podróży. Zaiste była to piętnująca ironia. Dziś najmizerniejszy z serbów może słusznie powiedzieć, że jest więcej wart od głowy Obrenowiczów, bo naród znosi go w swem łonie i nie potrzebuje drogo opłacać, ażeby się wyniósł. Zważmy przytem, że ze wzgardą dla człowieka łączy się tu wzgarda dla łupieżcy. Serbia nie jest bogatą Francyą lub Anglią, ale krajem biednym, który ledwie istnieje ekonomicznie, który wyznaczając dożywotnią pensyę abdykującemu monarsze obok listy cywilnej króla, przywalił się ciężarem i nie może wyrzucać milionów. Wysokość tego okupu świadczy, jak dokuczliwym był ten, który „żyje tylko szczęściem swej ojczyzny.“

Doprawdy, jeżeli ten milion, otrzymany od biednego narodu pod warunkiem niena-

wiedzania go i przecięcia spotkań z synem nie parzy Milana, jadącego na hulanki do Paryża, to już nic grubej jego skóry przepalić nie zdoła.

Z AUSTRYI.

Parlament bez większości. — Stanowisko lewicy i usiłowania Hohenwarta. — Przemowa księcia Karola Schwarzenberga. — Młodoczesi. — Traktat celny z Niemcami. — Dzieło Matlekovicha o polityce celnej. — Znaczenie odnowionego traktatu.

W wigilię otwarcia nowego parlamentu prysnęła budowa, sklejona przez hr. Taaffego i żywiołów różnorodnych: lewica niemiecko-liberalna, przyparta do muru przez opinię swego stronnictwa, jakoby poszła była na usługi hr. Taaffego z poświęceniem zasad, wycofała się z przymierza. Plener oświadczył, iż prowadzić zamyśla politykę wolnej ręki i że unia z klubem Hohenwarta nie istnieje. Mamy więc dziwne widowisko parlamentu, który rozpoczyna sesyę bez skrystalizowanej większości jako podpory rządu. Hr. Taaffe nie traci spokoju i humoru, gdyż rokowania przezeń prowadzone osiągnęły ten przynajmniej rezultat, że lewica osłabiła swój opór, że w programie swym położyła nacisk nie na stanowisko opozycyjne, lecz na gotowość popierania interesów państwa i reform gospodarczo-finansowych. Wiadomo też dziś już, że mimo niezależności lewica głosować będzie za adresem i za budżetem. Chociaż jednak hr. Taaffe rządzić może i w obecnym stanie rzeczy, członkowie prawicy krzątają się gorliwie około sklejenia większości, a zwłaszcza hr. Hohenwart nie kryje się z nadzieją, że utworzyć zdoła coś w guście dawnej prawicy. Odnowienie trójprzymierza, o jakiem marzył hr. Taaffe, zdaje się dziś być polityczną niemożebnością, gdyż lewicę zbyt silnie rozdrażnił młody książę Karol Schwarzenberg, który oświadczył w praskiem stowarzyszeniu katolicko-politycznem, iż czeska szlachta feudalna pod żadnym warunkiem ze stronnictwem liberalnem się nie połączy. Podczas gdy Plener i Chlumecky kilkakrotnie oznajmili, że lewica byłaby gotowa utworzyć większość z feodałami czeskimi, ci odpowiadają im przez usta tego księcia, że dzieje układu czesko-niemieckiego bynajmniej podobnej w nich chęci nie obudziły, że nie zamyślają ustąpić ani o włos ze stanowiska swego, zajmowanego na polu polityki rolnej i szkolnictwa. Charakterystyczną jest okoliczność, że ks. Schwarzenberg w przemowie swej skręcił już lekko ku młodoczechom: podczas gdy szlachta feudalna poprzednio godziła się na żądanie niemców, aby odgraniczono ich okręgi od czeskich, dziś ks. Schwarzenberg twierdzi, że skoro naród podczas nowych wyborów do parlamentu oświadczył się przeciw temu podziałowi, szlachta poddać się musi jego woli. Zwolna więc młodoczesi wychylają głowy z ciemności, w jaką chciał ich pogrążyć hr. Taaffe, a dziś wiele za tem przemawia, że w nowym parlamencie pójdą sprawy dawnym trybem z tą tylko różnicą, iż w miejsce staroczechów wejdą do koła dawnej większości młodoczesi. Na razie zastrzegli oni sobie niezależność, składając deklaracyę swych pretensyj prawno-państwowych.

Kiedy na polu polityki wewnętrznej usiłowania hr. Taaffego na razie nie osiągnęły celu pożądanego, w ekonomicznej święcą tryumf wielkiej doniosłości. Rokowania z Niemcami w sprawie traktatu celnego ukończono wreszcie i układ w zasadzie przyjęły oba państwa. Przez cztery miesiące toczyły się rozprawy w Wiedniu, a wynik ich zdawał się być bardzo wątpliwym; w ostatnich tygodniach przypuszczano prawie na pewno, że rokowania do skutku nie doprowadzą. Deputowani węgierscy wrócili do Pesztu, niemieccy do Berlina, po nowe instrukcye. Lecz dziś wszelkie trudności zasadnicze pokonano, a po ułożeniu pozycyj szczegółowych, traktat zostanie podpisany. Warunki handlu zagranicznego dla Niemiec i Austryi pozbywają się zależności od prądów parlamentarnych, a produkcyi zabezpieczona będzie w ten sposób pewna stałość, bez której obyć się nie może.

Co do systemu, według którego ułożona być ma taryfa celna, przewidywać można, że nie odbiegnie on od polityki dotychczasowej, tj. że zachowa cechę protekcyonizmu. W czasie układów poruszono nietylko praktyczne strony umowy, lecz rozprawiano też wiele o kwestyach zasadniczych, tj. o systemie wolnego handlu i protekcyonizmu. Pojawiło się dzieło, które wywarło pewne wrażenie na członkach konferencyi. Mówimy o pracy dr. Matlekovicha, byłego sekretarza węgierskiego ministeryum handlu, wydanem w Lipsku p. t. „Polityka celna monarchii austro-węgierskiej i Niemiec od r. 1868 i najbliższa jej przyszłość.“ Matlekovich przewodniczył swego czasu wydziałowi handlu i spraw celnych na międzynarodowym kongresie statystycznym w Peszcie i wówczas już zdobył sobie powszechne w świecie uczonym i dyplomatycznym uznanie, dzięki znakomitemu znawstwu gospodarstwa państwowego. Głos jego zwrócił obecnie na siebie uwagę tem bardziej, iż praca wspomniana opiera się na materyale obfitym, krytycznie opracowanym. Matlekovich doszedł do przekonania, że cła ochronne Austryi i Niemcom bardziej zaszkodziły, aniżeli pomogły do rozwoju gospodarczego. Nie zarzuca on protekcyonizmu całkowicie, lecz żąda sprawiedliwszego jego stosowania, a tendencyę swej książki wyraża w następujących słowach: „Dziwne anomalie widzimy w dążności protekcyjnej. Jeżeli ktoś w kraju takim jest profesorem, adwokatem, lekarzem, dziennikarzem, kupcem, wyrobnikiem lub łachmaniarzem, ginąć może z głodu; nikt nie troszczy się o to, czy zajęcie to daje dochody dostateczne, czy też nie. Skoro rzemiosło twe wyżywić cię nie może, w takim razie obierz sobie inne na własne ryzyko, gdy nie chcesz zginąć. Lecz skoro los ci sprzyjał, skoroś został np. bogatym właścicielem dóbr, panem hut lub przędzalń, lub skoro wyrabiasz na wielką skalę cukier i spirytus, wówczas państwo drogą ceł ochronnych starać się musi o to, aby ceny wytworów twych były wysokie.“

Dzieło Matlekovicha jest nader pouczające, gdyż nie broniąc żadnych szczególnych interesów, wykazuje skutki dzisiejszego systemu ochronnego. Nie można łudzić się nadzieją, iżby komisya, układająca traktat, zdobyła się na racyonalniejsze i sprawiedliwsze stosowanie ceł ochronnych, niż poprzednio. Rządy zbyt są zależne od grup wielkich fabrykantów i właścicieli rozległych dóbr, iżby odmówić im mogły poparcia dla ich samolubnych dążności.

Znaczenie odnowionego traktatu celnego nie polega tedy na pozycyach poszczególnych, lecz na samym fakcie usunięcia taryfy autonomicznej, której bezwzględnego przeprowadzenia żądają obecnie we Francyi. Taryfa autonomiczna doprowadziłaby do powszechnej wojny celnej; należy zważyć, że obecnie wypowiedziano w Europie 18 traktatów handlowych. Odnowienie ich zależało po większej części od odnowienia traktatu austro-niemieckiego. Konferencye wiedeńskie doprowadziły więc przynajmniej o tyle do celu, że wzniesiono tamę przeciw wojnie gospodarczej.

A.

FRAGMENTY.

Szara płaszczyzno życia, ciebie do najsmutniejszej pustyni porównać nie można. Na pustkowiu stepowem i wśród morza piasków i na pustyni wód oko spotyka rzeczy wielkie, zjawiska wspaniałe, które duszę lękiem lub zachwytem napełniają — ty jedna tylko możesz zatopić ducha w nudzie bezgranicznej lub obojętności. Ty jesteś jak te moczary grzęzkie, śród których wędrowiec, wlokący się leniwie, patrzy tylko na to miejsce, gdzie ma postawić nogę, a gdy z trudem wyciąga ją z więzów czarnego błota, już woda zalewa ślad jego kroku, już gotowa pułapka dla innych, niedoświadczonych. Idzie przechodzeń taki z głową opuszczoną, oko jego nie wybiega naprzód, nie widzi nic nad małe kępki trawy i czarne doły, napełnione wodą, piersi jego nie podnosi mocny, głęboki, orzeźwiający oddech, uciska ją tęsknota. Albowiem—rzecz to wielce dziwna — niejeden z wędrowców piesci w swej duszy obrazy zgoła niepodobne do tych, jakie oko jego napotyka. To marzy o górach porosłych lasem i przeglądających się w czystem zwierciadle morza, to śni, iż cała przyroda odbrzmiewa odgłosami gniewnej burzy, niby echem stoczonej w jej łonie walki, to goni myślą obraz jakiejś łąki, kwiatami zarzuconej, nad którą ulatują łagodne, wonne powiewy. Jakże smutną jest chwila, kiedy obrazy te, przedmiot jego tęsknoty stanowiące, rozwiewają się u kresu wędrówki niedotknięte — niezniszczone...

Przebyłem życie — wzdycha wówczas przechodzeń — i widziałem wciąż jedne i te same rzeczy i zjawiska, powtarzające się ze straszną jednostajnością, dziwnie małe rozmiarami i siłą, rozpostarte na jednym poziomie. Stąd to pochodzi, że życie wydało mi się grzęzką, szarą płaszczyzną.

Gdy patrzę teraz na nie, jak na rozwiniętą do ostatniego zwoju wstęgę, przypomina mi ono również tę chwilę w lecie, kiedy znużony kładłem się w trawie i okiem do połowy przymkniętem patrzałem na malutką, rozpostartą przede mną cząsteczkę świata. Było tam kilkanaście źdźbeł trawy, po których uwijały się drobne robaczki. Pnie się taki robaczek po źdźble wiotkiem i uginającem się, pnie się do góry, przybywa na sam szczyt cieniuchny i — spada, lub — spada, dotarłszy tylko do połowy źdźbła. Z początku patrzałem na to z ciekawością, zajmowało mnie pytanie — kiedy robaczek spadnie, mówiłem do siebie: oto i tutaj dzieją się dramaty, a może tragedye, wprędce jednak powiew nudy zakleił mi powieki i przy brzęku, który wydawały małe skrzydełka muszek i komarów — zasypiałem. A kiedy, po przebudzeniu, pierwsze spojrzenie moje znów się zanurzało w tym światku traw, mchów, listków opadłych i owadów przechadzających się po wiotkich źdźbłach — opanowywał mnie nagle gniew i porywałem się z niecierpliwością ogromną na nogi. Pilno mi było podnieść się, rozejrzeć dokoła i odnaleźć szeroki widnokrąg. I wtedy to z większem, niż kiedykolwiek rozradowaniem, patrzałem na wszystko. Nigdy głębszym nie wydawał mi się strop niebieski, nigdy słońce promienniejszem i każdy przedmiot, zatopiony w mgle sinej, na krańcach widomego mi świata bardziej ponętnym. Wesoło wlewało się do mojej piersi wraz z wonią lasu, z słodkim zapachem łubinu i kwiecia łąkowego. O, jakżem się cieszył wówczas, że mogę głowę moją podnieść parę łokci wyżej nad trawnik...

I cóż z tego? Wszak niebawem położę ją niżej jeszcze — pod darnią... Jeśli jest ktoś w wszechświecie, co spełnia pragnienia zrodzone z wielkiego bólu, to ja bym

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dwie sztuki podziwiać musimy ustawicznie: napisanie mowy tronowej tak, ażeby ona w wielu słowach nic nie powiedziała, oraz wydobycie z niej tego, czego ona nie zawiera. Pierwszą z tych sztuk wykonywają ministrowie, drugą — dziennikarze. Nową Radę państwa powitał cesarz Franciszek Józef mową tronową, która, jak wszystkie tego rodzaju akty, obraca się w ogólnikach, a którą prasa całego świata obecnie żyłuje. Monarcha austryacki zapewnił, że stosunki z sąsiadami są wyśmienite, że pokój zapewniony, że rząd przedstawi parlamentowi szereg projektów, dążących do poprawy bytu wewnętrznego itd. Z tych suchych wyrazów, które już sto razy były powtarzane, geniusz domyślności dziennikarskiej wyciska lotny olejek przypuszczeń. Najdalej posuwają się gazety francuskie. Ponieważ o Francyi nie wspomniano, więc wysnuwają wniosek, że ona jest przedmiotem zmowy celnej, do której oprócz Niemiec i Austryi wejdą: Włochy, Szwajcarya i Belgia, które utworzą około niej obręcz żelazną niszczących taryf.

Całą uwagę Niemiec pochłonął wybór posła do parlamentu z 19 okręgu hanowerskiego, gdzie jako kandydat wystąpił ks. Bismark. W dniu rozejścia się obecnego numeru *Prawdy* wybór ten będzie już dokonany i prawdopodobnie odrazu lub przy głosowaniu ściślejszem zapewni mandat ex-kanclerzowi. Ale nawet tryumf będzie dość skromny. Naprzód bowiem prawie wszystkie dzienniki, z wyjątkiem paru pozostających na służbie u księcia, oświadczyły się przeciwko jego kandydaturze, tak że zwycięzcy nie czeka serdeczne powitanie w sejmie; powtóre nie zaszczytnem to jest dla „twórcy jedności niemieckiej“ zdobywanie mandatu z mozołem i poparciem narodowo-liberałów, którzy nie śmią nawet jawnie przyznać się do tego. Ten, który urządzał plebiscyty i odchodząc był przekonany, że naród pragnąłby go zatrzymać na najwyższem stanowisku, nie może uczuć zadowolenia w słabej większości głosów, jaka na niego w jednym okręgu padnie.

Stwierdzono, że cesarz nie przesłał mu życzeń w dniu urodzin. Nadto usunął jego zięcia, hr. Rantzau, piastującego godność posła pruskiego przy rządzie bawarskim, wreszcie kazał „przenieść w stan spoczynku“ zaciekłego bismarkowczyka, prezesa regencyi kwidzyńskiej, bar. Massenbacha.

Anglicy złożyli znowu na oltarzu swych kolonij krwawe ofiary. Komisya wysłana do Manipuru pod przewodnictwem Quintona, została tam wymordowana. John Bull, pomny swej słabej siły zbrojnej, za pomocą której trzyma w poddaństwie miliony azyatów, nie rad w takich wypadkach chwytać natychmiast za oręż i probuje załatwić sprawę pokojowo. I tym razem chciał poprzestać na ukaraniu winnych przez władze krajowe. Gdy jednakże odmówiono mu zadośćuczynienia, będzie musiał wywalczyć je sobie bronią.

Otworzony testament ks. Hieronima Napoleona czyni głową rodziny i spadkobiercą jej praw młodszego syna Ludwika, a wydziedzicza starszego Wiktora, z którym ojciec żył ciągle na stopie wojennej. Chociaż ta wola nieboszczyka wywołała burzę w szklance wody, nie ma ona znaczenia politycznego, gdyż wątpimy, ażeby nawet zarówno obdarowany prawami, jak pozbawiony ich myśleli na seryo o wskrzeszeniu bonapartyzmu we Francyi. Skoro więc tylko przebrzmi spór o to, gdzie zmarły ma być pochowany — w paryskim kościele Inwalidów, czy też we Włoszech — wszyscy zapomną o żyjących potomkach Napoleona.

Zatarg między Stanami Zjednoczonymi a Włochami w sprawie morderstw nowoorleańskich pozostaje ciągle otwartym, chociaż przybiera postać coraz łagodniejszą. Za dużo rząd włoski ma kłopotów wewnętrznych i zewnętrznych z powodu Abisynii, ażeby mógł i chciał wytwarzać sobie nowe.

ROZPORZĄDZENIA RZĄDOWE.

Najwyższym rozkazem Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Michał Michałowicz usunięty został z armii, oddziałom zaś wojsk jego imienia odjęto dotychczasową nazwę.

Jej Cesarska Wysokość Wielka Księżna Olga Teodorówna zmarła w drodze do Krymu. Zwłoki z Charkowa przewiezione zostały do Petersburga. W ceremoniale pogrzebowym dla Wielkiego Księcia Michała Michałowicza nie wyznaczono miejsca.

BADANIA NAUKOWE.

MISTYCYZM NAUKOWY W SZACIE SWOJSKIEJ.

W handlu księgarskim świeżo ukazała się książeczka p. W. Stodółkiewicza *O rozwoju życia i główniejszych jego przejawach.* Niewielka to praca, lecz z wielu powodów zasługuje na bliższą wzmiankę. „Rozmyślając różnymi czasy — mówi autor w przedmowie — nad zagadkami bytu, powziąłem zamiar zebrania myśli w jedną całość i ułożenia ich zgodnie z wiedzą doświadczalną. Zapragnąłem na ogólnej podstawie teoryi rozwoju poruszyć najpoważniejsze zagadnienia, zajmujące ludzkość od dawna... W niektórych ustępach przekraczam zakres doświadczenia, starając się za pomocą wyobraźni kwestyę bytu pozagrobowego dopełnić i chociażby w małej części dać odpowiedź na te pytania, które do dnia dzisiejszego nauka realna musi pomijać.“ Właśnie chcielibyśmy zatrzymać się nieco nad temi częściami książki, gdzie autor czyni wycieczki w dziedzinę „niepoznawalnego.“

Rozejrzyjmy się jednak przedtem w zawartości i charakterze samej książki. Autor usiłuje skreślić w krótkości dotychczasową ewolucyę wszechświata, stojąc na gruncie zdobyczy naukowych. Zasada jedności sił, jako też jedności materyi jest dlań założeniem podstawowem. „Na początku eter wypełniał całą przestrzeń... w eterze spoczywało istnienie, jako w uśpionym oceanie sił życia. Wskutek szczególniejszego układu drgań eter w pewnych miejscach uległ skupieniu i przeszedł w stan, różny od poprzedniego — utworzyły się atomy materyi kosmicznej.“ Powoli p. Stodółkiewicz roztacza przed nami powstanie wirów mgławicznych, wyłonienie się z nich systemów słonecznych, przejścia geologiczne naszej ziemi, ukazanie się materyi organicznej. „Eter i cząsteczki materyi nieorganicznej uległy silniejszemu przyciąganiu, przylgnęły do siebie i zespoliwszy się w nowy niejako związek chemiczny, objawiły się w odmiennym od poprzedniego stanie— pod postacią materyi organicznej, czyli ożywionej.“ Następuje po tem obraz rozwoju świata organicznego, roślinnego i zwierzęcego, aż do zjawienia się człowieka w kilku punktach globu ziemskiego, krótkie dzieje kultury ludzkiej, ogólna ewolucya stosunków społecznych (na podkła-

---

pragnął spocząć tak głęboko, aby mnie nie dotknęły korzonki wiotkich traw i nie dosięgły małe robaczki, jakim przyglądałem się za życia.

Wiosna na cmentarzu.

Stare kasztany rozpięły nad ziemią w kształcie kopuł, zasłony, ułożone z ciemnych, wielkich liści, niby setek otwartych wachlarzów. W chłodnym cieniu, na ziemi oddychającej wilgocią, stoją jedne naprzeciw drugich szeregi kamiennych grobowców i pomników. Mauzolea, kapliczki, grube marmurowe lub ciężkie żelazne krzyże, kolumny nadłamane u góry, strzeliste wieżyczki gotyckie, sarkofagi i obeliski z popiersiami, niewiasty kamienne, pochylone nad łzawnicami z lilią lub liściem palmowym w ręku, anioły z trąbą archanielską i gwiazdą we włosach, rzędem są ustawione po obu stronach szerokiej, piaskiem usypanej ulicy i tak blizko jedne drugich, iż płyty grobowe i kraty żelaznych ogrodzeń stykają się ze sobą, nie zostawiając piędzi ziemi, na której rozpostrzeć by się mogły wolne trawy, swobodnie i szeroko rozrosłe krzewy lub kępami wzrastające kwiecie.

Do grobów tych wiosna niema przystępu, ubiera je tylko ręka ludzka. Wyzłaca ona napisy, stawia posągi, rozwiesza wieńce ze sztucznych kwiatów, bluszczem marmurowym oplata strzaskane kolumny, kamiennemi różami przystraja płytę nagrobka i z symetryą wielką rozstawia na niej wypieszczone krzewy i kwiaty. Ładne są te ogródki i gaiki czystością połyskujące, wonne, uśmiechnięte. Pięknie wygląda biały marmur okolony strojną, delikatnymi odcieniami mieniącą się zielenią. Na grób patrząc zda się, iż widzisz białą twarz kobiecą, którą nawet łzy perliste stroją, a wdzięki jej szata żałobna podnosi.

Ale czy jemu, biedakowi, nie ciężko pod marmurem? Czy nie nazywa on szyderczą — rękę, co na piersi położyła mu kamień, a na kamień ciska kwiaty?

* *

Dziś tak ciepło. Patrzcie, stróże poroztwierali drzwiczki żelazne u pieczar grobowych. Nie na oścież — broń Boże — je otwarli, tylko do połowy— niech się trochę przewietrzą zatęchłe izby nieboszczyków.

Czy mnie tylko smutnemi wydają się te więzienia umarłych? Zaglądam do jednego z najwspanialszych i widzę, jak z trumny pyłem przysypanej wystaje pożółkły, zbutwiały rąbek niegdyś białej, panieńskiej szaty. Biedna dziewczyno, dawno już trwa niewola twoja, a może ty jeszcze za życia, w złotej klatce zamknięta, tęskniła do swobody. Żal mi ciebie, jeżeli tobie milszą rosa, którą zimny ranek otrząsa z gałązek brzozy, niż łzy krewniaków. Oni ciebie teraz jeszcze uważają za swoją własność, a ty więcej niż do nich tęsknisz może do — ziemi i ciszy.

Zbliża się stróż więzienny... ach! nie — cmentarny. Zawsze jednak spełnia on smutną powinność... Człowiek ten patrzy na mnie przychylnie i zachęcająco, jakby chcąc powiedzieć: cieszę się, że się przekonałeś, jakie kosztowne trumny i jakich zacnych nieboszczyków trzymam pod kluczem, widzisz, iż zasługuję na zaufanie.

Dziwny świat, gdzie trzeba pilnować umarłych, by nie uciekli, czy też strzedz, by żywi ich nie okradli.

* *

Szukam powagi śmierci w sztywnych, zimnych grobowcach bogaczów, z namaszczeniem odczytuję napisy tak wyraźne i błyszczące, iż niemal wykłuwają oczy. Czy one istotnie mają na celu obudzić u przechodnia tę szczególną litość, jaką we mnie obudza biedak, z którego śmierć nawet nie zdarła przylepionej do niego etykiety, wskazującej wartość jego w obliczc-

dzie teoryi, że społeczeństwo jest organizmem). W gruncie rzeczy praca p. Stodółkiewicza przedstawia powszechnie znane rozwojowe pojmowanie dziejów wszechświata. Lecz niepodobna powiedzieć, aby książka *O rozwoju życia* liczyła się skrupulatnie z faktami naukowymi. Przeciwnie, spotykamy w niej na każdym kroku twierdzenia i poglądy, co do których możemy zapytać: skąd one się wzięły? „W rozmaitych miejscach i być może w niezupełnie jednakowym czasie powstało pięć wybitniejszych ras ludzkich, jako kres dla pięciu głównych dróg rozwoju, którymi postępowała przyroda.“ Z jakich źródeł autor zaczerpnął podstawę dla tego twierdzenia, doprawdy nie wiem. Albo zatrzymajmy się nad rodowodem religii. Pierwotny kult słońca zaginął niby w epoce lodowej i zamienił się na cześć ognia. Z czasem postąpił on dalej i zaczął badać przyczyny, z których ogień powstał. „Na podstawie najprostszego kojarzenia pojęć, za siedliska bóstwa uważane były te kamienie i kłody drzewa, z których przez krzesanie i tarcie ogień wydobywano. Stąd wziął początek fetyszyzm. Dalej pozostawało uczynić już krok niewielki, aby wyciosywać bałwany z kamienia lub drzewa i aby czcić całe gaje drzew świętych. Następujące po sobie pokolenia ludzkie zapomniały o przyczynie przeniesienia czci z ognia na bałwany kamienne i drzewne i obok ognia niezależnie poczytywały za bóstwa figury, wyciosane ręką... Gdy człowiek stanął raz na takiej stopie rozwoju umysłowego, że upatrywał bytność bóstw nadprzyrodzonych w rozmaitych bałwanach i drzewach rosnących, to przez bardzo proste kojarzenie pojęć łatwo mógł przenosić ideę bóstwa na pewne zwierzęta, które były użyteczne. Stąd powstał kult religijny, zwany zoomorfizmem.“ Wyjęliśmy z pracy p. S. dłuższy nieco ustęp, kreślący nam dzieje rozwoju religii w sposób może dowcipnie pomyślany, lecz najzupełniej niezgodny z faktami.

Ponieważ nie idzie nam o wykazanie nieścisłości i polowanie na błędy, poprzestajemy na tem i zwrócimy się do punktu, najbardziej nas obchodzącego i który nas głównie pobudził do zatrzymania uwagi czytelnika nad książką *O rozwoju życia*. Ktoś inny, kreśląc prawdopodobną ewolucyę wszechświata, wobec tej lub owej zagadki powiedziałby: tego niepodobna zrozumieć, to przewyższa siły umysłu ludzkiego. Trzymając się „mechanicznego“ pojmowania, doprowadziłby dzisiejszy wszechświat do stanu zupełnego rozprzężenia, w którym pojedyncze cząsteczki poruszałyby się rozmaicie i w rozmaitych kierunkach. Atoli ta pierwotna rozmaitość wraz z faktem samego bytu jest założeniem, które przyjmiemy jako coś danego, bez odpowiedzi skąd powstała. Nauka szczerze i otwarcie stawia w tem miejscu znak zapytania, którego nie umie usunąć. Podobnie kiedy mówimy o swojem „ja“ wewnętrznem, o własnej samoświadomości, objawach woli, uczuciu, możemy z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuścić, że zjawiska duchowe są związane współrzędnie ze zmianami materyalnemi w układzie nerwowym, lecz znowu wypada nam nakreślić znak zapytania nad istotą tej zależności. Atoli owe pytajniki nie każdemu przypadają do smaku. Dla wielu wyglądają one zbyt sucho, niepowabnie; inni nie mogą znieść ukrywającej się za nimi niewiadomości i niepewności. Nauka nie pozwala ich usunąć za pośrednictwem dawnych teozoficznych istności. Cóż więc robić? I oto natury z odpowiedniem usposobieniem zaczynają przyozdabiać w ten lub inny sposób owe słupy zapytania, postawione u progu niepoznawalności. Jedni rzeźbią je i upiększają, inni usiłują okryć ich nagość stosownym przyodziewkiem, tak, iż zamiast prostych znaków widzimy jakieś nowe istności metafizyczne. Naturalnie w dalszym ciągu buduje się całe rusztowanie „transcendentalne,“ byleby tylko jakoś zamaskować znaki zapytania. Powstaje tą drogą mistycyzm naukowy, którego spirytyzm dzisiejszy jest postacią najbardziej nieokrzesaną i niewyrobioną. Prąd ten, badany ze stanowiska antropologicznego, jest reakcyą szczególnych natur przeciw nagiemu faktowi niepoznawalności „przyczyn pierwszych.“ Właśnie praca p. Stodółkiewicza jest takim rodzimym objawem mistycyzmu naukowego. „Z eteru prawdopodobnie wyszło pierwsze pragnienie życia“ — mówi on na początku swojej pracy. Eter jest to „wielki rozum wszechświata.“ W połączeniu z materyą stwarza on ducha. „Mniemam, że powstawanie w nas myśli przypisywać można działaniu i obecności w organizmie materyi dynamicznej, czyli eteru... Pierwiastek duchowy zawsze jest, co do istoty swej, jednaki, tak u zwierząt i roślin, jak i u człowieka; wielka jednak zachodzi różnica w objawach świadomości roślin, zwierząt i ludzi — co, jak mniemam, zasadza się na rozmaitej sile zespolenia eteru z atomami materyalnymi. Dodać trzeba, że w każdej epoce związek ducha z materyą nie jest jednakowym u rozmaitych osobników, a nawet różnym bywa u każdej jednostki w pewnych porach wieku.“ Słowem, mamy rozwiązaną zagadkę życia duchowego... Atoli z powyższego rozumowania ktoś miałby prawo wysnuć jeszcze dalszy wniosek. Ponieważ z połączenia materyi i eteru ukazuje się świadomość, to czyż całego wszechbytu nie możnaby uważać za jestestwo świadome, za istność duchową? Zdaje się, iż p. S. nie cofa się przed tym wynikiem swoich założeń. „W eterze, który nazwać można Duchem świata, mają siedlisko wielkie myśli kosmiczne, dotyczące ustawicznego wytwarzania życia i kierowania jego losami.“ Wreszcie występuje pytanie, co robi się ze świadomością ludzką po śmierci. Autor nie obawia się wpłynąć na te „nieżeglowne“ wody. Udajmy się wraz z nim. „Z chwilą śmierci następuje rozłączenie pierwiastku duchowego z ciałem i duch pozostaje w przestrzeni świata tam, gdzie znajdował się dany punkt ziemi w chwili śmierci człowieka. Po upływie pierwszej sekundy od śmierci organizmu, ziemia wraz z będącem na niej ciałem zmarłego posuwa się ustawicznie, zmieniając swe względne położenia w przestrzeni i nigdy nie wraca do tego miejsca, w którem znajdowała się niegdyś. Duch człowieczy, czyli cząstka owego eteru wszechświatowego, powraca do swego źródła — Ducha świata.“ Ponieważ wszelkie drganie, jeśli raz powstało, nigdy nie może ustać, lecz rozchodzi się w możliwych kierunkach; ponieważ wszelkiemu zdarzeniu na ziemi towarzyszy pewien układ drgań eteru, które dalej udzielają się przestrzeni, przeto wszystko, co tylko zdarzyło się kiedykolwiek we wszechświecie, wciąż żyje i bytuje w świadomości Ducha świata. Dzięki temu, „duch człowieka, gdy się połączy z Duchem powszechnym, otrzymuje przez to świadomość wszystkiego, co się kiedykolwiek działo, widzi tworzenie się światów, wszelkie przemiany gatunków, ma przed sobą jak na dłoni wszystkie dzieje ziemi i narodów. Staje się mędrcem. Niema żadnych zagadek. Duch widzi swój pobyt na ziemi, swoje postępki złe i dobre, zna wszystkie swoje i innych najskrytsze myśli.“ Rozumie się, nasz mistyk naukowy nie odmawia zwierzętom tego, czem obdarował człowieka; dusze niższych organizmów nie giną, chociaż pozostają w stanie biernym. Wreszcie p. St. stawia dalsze twierdzenie, zmartwychwstanie ciał! Wszechświat bowiem składa się z oznaczonej liczby atomów i według autora, po wyczerpaniu się w naturze wszystkich możliwych kombinacyj, nastąpić musi kiedyś z konieczności powtórzenie z atomów takiej kombinacyi, która już ongi istniała. „Wybije z czasem chwila, kiedy atomy,

---

niu na monetę ludzkiej opinii. Za wiele jednak — prawdę mówiąc — jest „najlepszych ojców,“ a za to „szlachetnego fabrykanta“ znalazłem tylko jednego. Może ten nieborak pragnąłby obydwoma martwemi rękami zedrzeć z siebie napis — chyba... szyderczy.

Stanowczo, wiosna z dzielnicy bogaczów została wypłoszona. Nie mam tu co robić, nie przyszedłem po to, aby ubolewać nad pychą i głupstwem ludzkiem, idźmy tam, gdzie mniej ozdobnych grobów a więcej drewnianych krzyżów. Oto już niedaleko mur zieleni nieprzebity okiem.

...Jest to dziwne, zastygłe morze. Otacza cię ono ze wszystkich stron, przelewa się nad głową, rozstępuje się przed tobą i znów cię ogarnia. Poruszasz się we wnętrzu jakiejś wydętej fali, przeświecającej od strony słońca pysznym, szmaragdowym blaskiem.

Wtem fala pęka, z odsłoniętego błękitu swobodnie zlewają się potoki jarzącego światła, a w dole rozsypują się drobne, zielone zmarszczki, to szeregi małych darniowych mogiłek, niby pierwsze rodzące się fale, które wiatr podejmuje na powierzchni wody. W głębi fale te znów rosną i jedne na drugie się wspinają, po kępach ziela na niskie zarośla bzów, róż i jaśminów, i wyżej — na tuje i świerki młode, a potem — już potężne, zbałwanione przelewają się po wierzchach klonów, wierzb i kasztanów, bryzgając zielenią aż na szczyty topoli strzelistych.

Na grzbiecie wysokiej akacyi jedna taka fala się złamała i tak — złamana, pianą białego kwiecia okryta — w powietrzu zawisła. Jakaż woń bije od niej.

W morzu tem spoczywa zatopiony cmentarz. Krzyże, krzyże, krzyże wychylają się zewsząd, ale ogromnie wiele ich znikło pod osłoną zielonych fal, które je zalały, wspięły się nad nimi i zastygły. Gdzie niegdzie rozstępując się, ukazują na dnie gromadę małych krzyżyków. Czasem wzburzą się, zakołyszą, zaszumią nad cmentarzem.

Otuliły go, uśpiły.

* *

Na niebie — niby błękitnej wodzie, unosi się biały łabędź — obłoczek. Za nim uganiają się powłoczyste pasma mgieł, podobne niekiedy do tych śladów srebrną łuską nasadzonych, które za łabędziem ciągną się na wodzie. Pochwycony przez mgły, obłoczek nabrzmiewa, ciemnieje i roni grube, rzadkie łzy, które cicho spadają i giną wśród drzew. Raz po raz mgły i obłoczek przelatują przed słońcem, a wtedy po cmentarnej zieleni gonią się światła i cienie.

Wtem zieleń wszystka się omroczyła. Chłodny podmuch zgasił światła i blaski na cmentarzu, ptaki w połowie urwały swe piosenki. W górze wielki obłok uciekał przed mgłami, płacząc rzęsistym deszczem. Gdy ominął słońce, ono w łzach jego tęczowe blaski rozpaliło — i znów rozkoszny, ciepły, promienny uśmiech rozlał się po cmentarzu.

Od mokrych drożyn podnosiły się lekkie, sinawe dymy, które roztrącały się o sklepienia drzew i zaczepiały się o gałęzie. Wilgotna zieleń śmiała się drżącemi, srebrnemi połyskami. Akacye pachniały tak, jakby miały duszę i całą ją oddały w woni swego kwiecia...

* *

Na jednej z ustronnych drożyn zarośla drogę mi zastąpiły.

Dziwne to było miejsce. Wszystko dokoła zdziczało. Dołem cisnęły się olbrzymie pokrzywy i nieprzetrzebione kępy zielska, nad niemi krzewy wybujałe splotły się w gąszcz nieprzedarty. Róże powyrastały ogromne — wysoko nad głową widziałem gałązki ich kwieciem okryte; jaśminy nie ustępowały miejsca bzom rozrosłym jak drzewa i wespół z nimi dusiły splątanymi konarami akacye usychające i już pożółkłe — i z gąszczu tego tylko

składające dzisiaj ciało moje, złączą się znowu i po upływie wielu tysięcy lat będę znowu istnieć i napawać się życiem!..“

Autor tedy stoi, jak rzekliśmy, na gruncie faktów tegoczesnej natury. Jego zapewnienie w przedmowie, że czerpał myśli swoje z dzieł Buckle'a, Baina, Spencera, Darwina, nie jest czczym frazesem. W gruncie rzeczy moglibyśmy z całą słusznością nazwać jego książeczkę popularyzacyą Spencerowskiej *Filozofii syntetycznej*. A jednakże zerwał on z agnostycyzmem myśliciela angielskiego, nie zniósł znaków zapytania, stworzył Ducha świata, obdarzył go — zawsze zgodnie z założeniami i zasadami nauki nowoczesnej — wszechwiedzą i wszechbytnością i pożeglował po morzu niepoznawalności! W podobnem położeniu znajdują się mistycyzmy naukowe pokrewnych natur za granicą. Niema u p. Stodołkiewicza ani jednego zasadniczego poglądu, którego nie zdołalibyśmy odszukać u mistyków naukowych Anglii lub Ameryki. Co więcej, w Stanach Zjednoczonych mamy do czynienia z całym prądem umysłowym, znanym pod nazwą „Ethical movement,“ którego przedstawiciele wypowiadają często podobne zapatrywania. W jednem z pism, wydawanem przez ten obóz, a mianowicie w *The Open Court*, spotkaliśmy się z teoryą p. Stodołkiewicza. Tak samo autor popularyzował ewolucyę wszechświata, wypowiedzianą w pracach Lyella, Darwina, Spencera, podobnie przyjmował i w tej samej formie Ducha świata. Jedynie dawał nieco odmienne nazwy. Cały wszechświat stanowił jednolitą całość: „bios,“ która również obdarzona była samoświadomością przeszłości i teraźniejszości, a której cząstkami jedynie były pojedyncze organizmy... W bardziej naiwnym mistycyzmie naukowym „spirytyzmu uczonego“ (Wallace, Crookes) świadomość ludzka wiedzie po śmierci żywot osobniczy, stanowi istność mniej lub więcej posuniętą, lecz zawsze odrębną od wszechbytu. Tymczasem w umysłach, więcej liczących się z faktami naukowymi, mistycyzm przybiera szatę, że tak powiem, bezosobistego panteizmu, jakeśmy tylko co widzieli w rozbieranej książce. W ten sposób p. St. jest swojskim plodem tego samego zjawiska, które spostrzegamy na całej przestrzeni świata naukowego, i jego praca jest dla nas tylko powodem poznajomienia się z odnośnym ruchem gdzieindziej.

Rzucamy jeszcze pytanie, jak należy zapatrywać się na ów mistycyzm naukowy? Zdaje się, że rozmiary jego w najbliższej przyszłości będą bezustannie wzrastały. Jest to wprost nowa postać wypowiedzenia się natur „religijnych,“ t. j. takich, które nie umieją i nie mogą śmiało spojrzeć w otchłań, jaka odkrywa się przed duchem ludzkim przy rozpatrywaniu różnych zagadek bytu. Rozwój wiedzy i samego życia niszczy coraz bardziej dawną pajęczynę mytów i tłomaczeń, lecz nie usuwa osób z odpowiednio ukształtowaną uczuciowością i oto te ostatnie stwarzają sobie nową wiarę — mistycyzmu naukowego.

K. R. Żywicki.

CHARAKTER I RUCHY.

(Badania etologiczne).

Kwestya osobowości, czyli inaczej mówiąc, kwestya charakteru staje się przedmiotem coraz ciekawszych badań dla psychologów i fizyologów, a jest nadzieja, iż owa wielka luka psychologii naszej będzie zczasem zapełniona. Wprawdzie spotykamy najrozmaitsze poglądy i zdania, co nie mało przyczynia się do zaciemnienia nauki o charakterze czyli *etologii*. Niewszyscy zgadzają się z sobą co do znaczenia samego wyrazu *charakter*. Jedni uważają, iż jest to właściwy każdemu z nas sposób rozumowania, czucia i działania. Inni znowu twierdzą, iż charakter odnosi się jedynie do uczuć i woli, a z inteligencyą niema nic wspólnego. Tu zauważyć należy, iż trudno w analizie oddzielić te trzy podstawowe władze naszego umysłu, tak ściśle związane z sobą, zależne wzajem od siebie i od tychże przyczyn fizyologicznych; trzeba więc badać je razem, gdy chodzi o wypadkową moralną wszystkich funkcyj istoty ludzkiej.

Trudność wzrasta gdy od określenia wyrazu przechodzimy do określenia rzeczy samej. W istocie charakter jest czemś nader złożonem i zmiennem, w skład jego wchodzą pierwiastki różnorodne, z których jedne przeważają, a drugie słabo są rozwinięte. Trudność jednak zmniejsza się, skoro na charakter patrzeć będziemy nie jako na mieszaninę elementów różnych co do liczby i stopnia, ale jako na pewną liczbę sił będących w równowadze niestałej; możnaby wówczas, jak w mechanice, oznaczyć wprzybliżeniu kierunek i natężenie tych sił, a przynajmniej najważniejszych.

Ale kwestya w ten sposób uproszczona znowu się wikła. Nowe teorye, oparte na doświadczeniu, wykazują nam, iż osobowość jest czemś niepochwytnem, zmiennem bez końca, niedającem się zanalizować, ani określić. Według Paulhana osobowość przedstawia szereg dążeń, mających swoje cele odmienne, jest syntezą tych dążeń, które wytwarzać mogą wiele osobowości odmiennych, przejściowych lub stałych. Fonsegrive uznaje osobowość uczuciową, sentymentalną, utworzoną z naśladownictwa czynów realnych lub imaginacyjnych itd. Te rozmaite osobowości, często sprzeczne między sobą, mogą jednak zlać się i utworzyć pewną całość. Ale cóż się stanie na wypadek amnezyi? (utraty pamięci). Co pozostanie z osobowości indywidualnej? Jeśli ona nie jest jednolita, ale złożona z wielu „ja“ realnych albo możliwych, gdzie będzie granica pomiędzy realnem a możliwem?

Dane te są niezbędne dla nauki o charakterze. Paulhan przypuszcza, iż osobowość główna, pierwszorzędna ma przewagę nad innemi pod-osobowościami. Według zdania hypnotyzerów, osobowość świadomości może zniknąć, zatrzeć się, ale nigdy nie zginie organiczna. Chodzi właśnie o poznanie tej osobowości organicznej i o odróżnienie jej cech od innych objawów działania ludzkiego.

Odróżnienie temperamentów było krokiem naprzód w tej sprawie; dziś jednak hypoteza temperamentów dawno już przebrzmiała i nie posiada żadnej wartości naukowej. Przypuszczalny wpływ żółci, limfy, krwi lub nerwów na funkcyonowanie mózgu należy do starzyzny metafizycznej. Wiemy, iż organy wewnętrzne wywierają swój wpływ na mózg, ale jakiego on jest rodzaju, na to ani fizyologia, ani psychologia odpowiedzi nie dają.

B. Perez usiłuje wprowadzić nowy sposób odróżnienia charakterów *), trzymając się ściśle obserwacyi psychologicznej w celu utorowania drogi dla tych, którzyby chcieli kwestyą tą zająć się specyalnie i dojść do syntezy. Z pracą tą właśnie zaznajamiamy czytelnika w niniejszym artykule, przedstawiając najważniejsze wywody autora.

Stało się to twierdzeniem nieledwie banalnem iż ruchy są objawem osobowości najgłębszej. Na tej podstawie opiera się grafologia i mimika fizyognomii, nauki, będące jeszcze w pierwszych fazach rozwoju; jednakże ruchy nietylko są wyrazem naszej istoty moralnej, ale nadto czynnikami tych

*) Patrz *Revue philosophique* — „Le caractère et les mouvements“ Styczeń 1891.

---

dwie niewysokie topole unosiły ku górze rzadkie, zielone wiechy.

Gaj ten cały pachniał i przesypany był kwieciem — zewsząd niby tysiące oczek patrzały na mnie blade, niepełne różyczki, żółtą mające źrenicę — i cały odbrzmiewał nieustannym, ogłuszającym świergotem ptactwa.

Żadna dróżyna do wnętrza jego nie wiodła i tylko w szczelinach, między gałęziami, przeglądały tu i owdzie ramiona krzyżów pochylonych, łamiących się pod ciężarem splotów różanych lub w objęciu bzów. Wiele już spróchnieć musiało, wiele obaliło się — z pokrzyw nie jedno ramię się wysuwało, drewniane, szare, wypłowiałe.

W zaroślach zabielało coś niby ułamek płyty. Gałązki odgarniając przedarłem się do niej. Nad czyimś grobem zapomnianym i opuszczonym róże altanę uplotły i sypały na niego listki swoich kwiatów.

„Wielki żal zostawiła po sobie ta dusza święta“ — tak przemówiła płyta — napisem spłowiałym i wpół startym — gdym liście z niej otrząsnął. Ach! wielki żal... Dokoła z hałasem uganiają się wróble, wiatr pokrzywom kłaniać się każe, drzewa duszą jedne drugie, krzyże próchnem użyźniają ziemię...

Wielki żal... Powiedz „duszo święta“ czyś ty odchodząc bardzo trwożna i smutna była, czyś może wtedy ściskała czyjąś żywą dłoń i tak bardzo, bardzo żal ci było gdyś już w swoich nie miała siły jej utrzymać? Czemużeś wtedy dokoła tej dłoni miłej nie oplotła jakiej lekkiej niewidzialnej nici, której koniec wziąłbyś z sobą — na tamtą stronę. Teraz gdybyś nić tę targnęła, ona by przywiodła na grób twój miłego, upragnionego człowieka. A może — może ty nić tę uwiązała, a ów żywy ją... zerwał?

Tak mi się zdaje, że nad tym zapuszczonym gajem unosi się wiele nici potarganych, które wiatr — niby jesienią pasma pajęcze — rozwiewa i czasem o obce, zimne ręce zaczepia. Nie umarli zerwali te nici — żywi.

* * *

Zbliża się wieczór cichy, rozpogodzony.

Ciepłe, wonną wilgocią nasycone powiewy przelatują nad cmentarzem, zaledwie trącając liśćmi. Słońce niebawem już zapadnie za mur cmentarny, światła pomiędzy drzewami przesuwają się powoli ku górze. Tu jeszcze smuga złota nakryła okwieconą mogiłę i wolnoześlizguje się z niej uchodząc między rzadkie, wysokie źdźbła trawy; tam gałązka akacyi świeci, jak pasmo złotej koronki, a cień zdradliwie się do niej podkrada i blask jej znienacka zdmuchuje. Owdzie płomień słoneczny pieści się z białym, marmurowym krzyżem, lecz i po jego śladach pełznie ten sam cień szary.

Pod kopułami starych kasztanów wielkie nagrobki już usnęły. Kamienne postacie czuwające na grobach w mroku wydają się lżejszemi, zda się iż wnet oderwą się od swych podstaw i ulecą — lekkie, nieujęte.

Najdłużej żegna się dzień z miejscem ogołoconem z drzew, na samym skraju cmentarza, gdzie na starych, zapadłych mogiłkach leżą pokotem świeżo ścięte trawy. Siano tu pachnie, łąka się przypomina. W pobliskich krzewach ptaki się nawołują oderwanemi, cichszemi coraz głosami.

Wreszcie cmentarz usypia. Sen to spokojny, głęboki, cichy, nawiany przyjaznym oddechem wiosny. I głowa wolno opada na piersi i myśli zbiegają do spokojnego, czystego łożyska i tak by się pragnęło nie wracać więcej, nie wracać *tam*. Lecz oto jakieś niewidzialne dłonie popychają nas do wyjścia, a usta czyjeś szepcą: Żywi nie powinni kosztować spokoju umarłych — przed czasem.

F. Brodowski.

objawów. (Ribot, Binot, *Revue philosophique*). Dokładne studya i ugrupowanie naukowe rozmaitych form i rodzajów ruchów przedstawiłyby nam wszelkie możebne modyfikacye osobowości ludzkiej. Autor zwraca głównie uwagę na trzy własności ruchów: szybkość, powolność i energię, które wraz z ich kombinacyami pomiędzy sobą przedstawiają pierwiastki klasyfikacyi charakterow bardzo prostej i racyonalnej. *Szybkość* objawia się fizycznie przez częstość ruchów, a w systemie nerwowym odpowiada biegowi prądu nerwowego, którego prędkość zmierzono w wypadkach psychicznych nawet bardzo skomplikowanych.

Energia przedstawia głębszą i szerszą pracę elementów nerwowych, praca nerwowa ogarnia większą ich ilość. Szybkość i energia nie są niezmienne w osobnikach jednego rodzaju. Różnica zależy od większej lub mniejszej kurczliwości mięśni, ale główna przyczyna leży w centralnym organie nerwowym. Tu należy szukać źródła temperamentów. Mózg, jak wszystkie inne organy, ulega wpływowi krwi i jego podniecenie jest w związku z obfitością jej w obiegu. Szybkość ruchów określa nam pierwszy typ charaktorów *żywych*; właściwość odwrotna — *powolnych*. Energia wysokiego stopnia da nam charaktery *ogniste*; energia połączona z powolnością, ale przeważająca — typ *żywych-ognistych;* energia połączona z powolnością, ale gdy ostatnia występuje słabiej — typ *powolnych-ognistych*. Prócz tego odróżnić można typ *umiarkowanych* ludzi, będących w równowadze, gdzie żaden rys wydatny nie przeważa.

Z tych sześciu cech nerwowo-ruchomych wypływają rysy charakteru, przeważające w danym osobniku. Przejdziemy w krótkości analizę tych temperamentów.

I. *Żywość temperamentu* pociąga za sobą ruchliwość i zmienność uczuć. Zmienność ta występuje w sposób wybitny u osobników, posiadających organizm słabowity; u silnych i zdrowych usposobienie jest więcej jednolite, więcej równe. Pierwsi w oka mgnieniu zapominają o swoich smutkach, przechodzą z szybkością błyskawiczną od łez do śmiechu itd. Wesołość jest ich ogólną cechą, nawet wówczas, gdy smutne warunki życia mogłyby nasuwać im wiele myśli ponurych. Wszystkie osobniki tej grupy zapominają łatwo o smutkach, nie mogąc zostawać długo pod wrażeniem jednych uczuć.

Łagodność objawia się u nich prawie jako wyjątek, skłonni są do gniewu i wybuchów. Ale gniew ich łatwo przemija, nawet u tych z pomiędzy „żywych," którzy odznaczają się usposobieniem wojowniczem. Rzadko kiedy wyrządzają innym szkodę. W uczuciach swoich są zmienni i często powodują się sympatyą lub antypacyą, nieopartą na żadnych danych, unosząc się własnem przeczuciem. Hojność ich przechodzi często w kaprys i marnotrawstwo. Słowem osobowość „żywych" jest rozrzuconą, lekkomyślną, z braku energii i wytrwałości. Potrzeba wrażeń wywołuje często wygórowaną miłość własną i próżność; duma ich miesza się z próżnością i zarozumiałością, jeśli dobre wychowanie nie zmniejszyło tej dążności do wystawiania na widok publiczny swoich zalet, cnót, rozumu, a choćby ubrania lub majątku.

II. Obok żywych i jako przejście do ognistych stoi klasa *żywych-ognistych*, u których przeważa kolejno żywość i ognistość usposobienia. Z kombinacyi tej otrzymujemy połączenie ruchliwości wrażeń i wzruszeń z dążnością do wytrwałości i stałości. Jeśli osobnik posiada zapas sił i zadowolić może swe potrzeby fizyologiczne, wówczas ugania się za przyjemnościami. W złym zaś stanie zdrowia, przy nieprawidłowości w funkcyonowaniu organów, skłonny będzie do smutku, do częstych zmartwień, które przez reakcyę wywoływać będą napady wesołości niezwykłej. Natury wrażliwe, poszukujące zadowoleń, skłonne jednak do głębokich smutków, bywają dobre, łagodne i współczujące. Ale nie należy od nich wymagać stałości uczuć i objawów wdzięczności długotrwałej. Celem ich jest przyjemność i nie mają czasu zatrzymywać się po drodze zbyt długo nad jednym przedmiotem. Gniew ich przechodzi nadzwyczaj szybko, nie zostawiając najmniejszego śladu. Zdaleka wydawać się mogą zarozumiałemi, ale zbliska widzimy, iż odznaczają się niezwykłą skromnością i brakiem wygórowanego pojęcia o sobie.

III. Temperament *ognisty* odznacza się znaczną dozą miłości własnej, zmysłowością wybitną, chęcią wyróżnienia się. Cechy te występują powoli począwszy od lat dziecinnych, w połączeniu z egoizmem, złośliwością i zawadyactwem. Do klasy tej wchodzą dawne typy krwistych, nerwowych i żółciowych (cholerycznych). Walka jest ich żywiołem, na pięści lub pałasze, pióra lub języki. Natężenie ich mózgu, nerwów i mięśni wytwarza wiele odwagi, a tchórzowstwo zdarza się śród nich rzadko. Nie umieją panować nad swoimi namiętnościami, a jest to jedyna niewola, jaką znają. W ich wesołości, smutku, gniewie, zawiści, miłości kryje się zawsze wiele uczucia osobistego; są tyranami i despotami nawet w miłości. Do rzędu nieprzyjaciół swoich zaliczają wszystkich tych, którzy nie starają im się przypodobać, którzy nie pochlebiają ich miłości własnej, ich słabościom. Nie zapominają nigdy zła wyrządzonego lub nawet chęci szkodzenia im, mścić się będą na wszystkich. Ich duma dojść może do wielkiej pogardy ludzi (Napoleon lub Bismark).

IV. *Powolność* zdradza wrażliwość tępą, słabo rozwiniętą. Ludzie tego rodzaju odznaczają się brakiem pragnień gwałtownych i namiętnych, mają wiele rutyny, przyzwyczajeń, przechodzących często w manie. Nie wyczerpują się wybuchami czułości lub gniewu. Ich dobroczynność jest dyskretną i spokojną, nie znają uczucia zwanego litością. Urazy pamiętają długo, ale nie dają poznać tego po sobie. Mają swój specyalny rodzaj niestałości. Rozstają się np. z wami w najlepszej zgodzie i przyjaźni, zdala zaczynają przeżuwać wspomnienia i wrażenia, a wtedy nagle zachodzi zmiana w ich poglądach. W tenże sam sposób przejść mogą od nienawiści do życzliwości. Aby znać ich uczucia ostateczne, należy zaczekać, aby machina wewnętrzna zrobiła pewną ilość obrotów. Powolni nie mają nigdy miłości własnej rozwiniętej, częściej dumę profesyonalną, niż istotną. Słowem: szczęśliwa miękkość, drogocenna obojętność, które często bywają brane za mądrość.

V. *Powolni-ogniści* obdarzeni są spokojem zewnętrznym, pod którym kryje się głęboka wrażliwość, bogata w porywy namiętne i marzenia uczuciowe. Wesołość wybucha u nich rzadko, ale skłonni są do silnych radości wewnętrznych, sercowych, moralnych, estetycznych itd. Siła, która w nich tkwi, objawia się tylko w okolicznościach wyjątkowych: jest to temperament wody drzemiącej, wulkanu pokrytego śniegiem. Cierpienie, które często ogarnia całą ich istotę dzięki wybujałej wyobraźni i którego pozbyć im się trudno, przygniata istotę ich do głębi i zostawia ślad niezatarty. W namiętności powolność ich wstrzymuje, ognistość popycha naprzód; ale bez namiętności żyć nie mogą i szukają nowych, aby zatrzeć wspomnienia dawnych, które ich unieszczęśliwiły. Idealizują przedmioty swych uczuć i prawdy dojrzeć nie mogą, dlatego też przechodzą przez bolesne rozczarowania. Charaktory te, przejęte wciąż uczuciami głębokiemi, mają rozwiniętą miłość własną, nie objawiają jej jednak nigdy w ruchach.

VI. Typ *umiarkowanych* czyli ludzi, odznaczających się równowagą umysłowych funkcyj, jednakowo oddalony jest od wyżej wymienionych. Spotykamy tu wrażliwość rozwiniętą, może nie głęboką, ale obszerną. Są to ludzie żyjący we wszystkich kierunkach, wszystko, co ludzkie, nie jest dla nich obce. Radość ich nie upaja, ani też smutek nie przygniata, zdrowy rozsądek ochrania ich od ciężkich zawodów i boleści długotrwałych. Są skłonni do antypatyj i sympatyj, ale powodują się rozsądkiem i nie oceniają nigdy ludzi według pozorów. Ich uczucia po większej części połączone są z szacunkiem. Ich miłość własna trzyma się złotego źródła. Mają nadto wiele rozwagi i rozsądku, aby wpaść w zarozumiałość, posiadają natomiast wiele dumy szlachetnej, nieprzechodzącej nigdy w próżność.

Przedstawiliśmy wzór klasyfikacyi charakterów, podany przez Pereza. Jest to krok naprzód, zrobiony na drodze, tak mało dotychczas zbadanej i najeżonej trudnościami, iż wielu psychologów odstręczyła. Wszelkie dążenie do uproszczenia, do jedności, do syntezy uważamy za postęp w tej sprawie. A może kto zechce dalej prowadzić rozpoczęte dzieło i tym sposobem drogą psychologii fizyologicznej dojść będzie można do utworzenia podstaw etologii naukowej.

J. J.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Klemens Junosza, *Syzyf*, obrazy z życia wiejskiego, 1891.

W powieści tej zastanawia nas głównie tendencya. „Gdybyśmy się trzymali razem (mówi autor w imieniu właścicieli ziemskich), myśleli i działali zgodnie, łączyli nasze siły, to naturalnie odporność nasza przeciwko wyzyskującym nas aferzystom i spekulantom byłaby większa... Nasze siły są rozetrzelone, każdy broni się na własną rękę, a ci, którzy na naszą zgubę działają, którzy wyzyskują nas — idą ławą. Dwudziestu, trzydziestu, stu handlarzy jednoczy się na to, aby jednego z nas w swoje szpony pochwycić; my nie potrafimy się złączyć nawet we dwóch, aby przeciwko jednemu spekulantowi się bronić." Powieść nawołuje posiadaczów ziemskich do solidarności i zaleca im wytworzenie źródeł taniego kredytu. Jest ona obrazem zmarnowanych wysiłków człowieka pracowitego, energicznego, skromnego w potrzebach, dobrego gospodarza, który ciężaru długów nie podźwignął i umarł wyczerpany pracą Syzyfa.

Bohater, pan Jan, posiada niewielki majątek, który zmniejszał się co pokolenie. Za dziadka był wielki, za ojca średni, za syna mały, z lasem przetrzebionym. Zmniejszanie to jednak nie pochodziło z winy dziedziców, lecz — „okoliczności." Zapewne autor rozumie pod tym wyrazem zmianę warunków ekonomicznych, zniesienie pańszczyzny.

Pan Jan rozpoczynał gospodarkę „na małem," pełen nadziei. Ożenił się z młodą kobietą, którą bardzo kochał, równie jak on niebogatą i nielękającą się pracy. Oboje więc na chęci do pracy i umiejętności jej opierali swoje widoki i projekty. Pan Jan zamyślał o zaprowadzeniu rozmaitych ulepszeń w gospodarstwie, dochody przewidywane miały mu dostarczyć potrzebnego kapitału.

Stało się jednak inaczej. Przedewszystkiem w drogę weszły klęski losowe, jednego roku grad, następnego pomór na bydło, wreszcie pożar, wynikły z uderzenia piorunu, którego pastwą stał się cały folwark z zabudowaniami gospodarczemi i narzędziami pracy. W dodatku majątek już był obciążony jakąś sumą, której właściciel

dotychczas zadawalał się procentem, a teraz wymówił ją, trzeba więc było na spłatę jej zaciągnąć dług u lichwiarza, inny zaś na conajrychlejsze postawienie budynków, ponieważ pożar wynikł przed samymi zbiorami. W taki to sposób dokoła szyi właściciela okręcił się węzeł długów lichwiarskich; raz zaś do jarzma tego wprzęgnięty, został on już do końca życia parobkiem, ekonomem swych wierzycieli, wysilając cały zasób energii i umiejętności gospodarskiej na to jedynie, aby sumiennie wypłacać procenty.

Jarzma tego — objaśnia autor — uniknąć nie mogą zwłaszcza ci ludzie, pozornie niby dobrze się mający, należący do tak zwanej inteligencyi, którym praca daje mały dochód, a dla których względna oświata wytwarza duże potrzeby. Chcą oni żyć „jak ludzie," chcą coś czytywać, kształcić dzieci, a nie mają na to. Do kawałka ziemi, jaki posiadają, przywiązują ich tradycye „dziedzicznego posiadania," wspomnienia rodzinne, usiłują więc utrzymać się przy nim wszelkim kosztem. Obarczeni obowiązkami, poganiani owym biczem, o którym żyd Maneles powiada, iż ukręcony jest z honoru, żony, dzieci, przywiązania, wszystkich nici w krwi umoczonych i z serca wydartych, nie znajdując odpowiednich instytucyj ani poparcia od swoich, sami, niepodtrzymywani przez nikogo, ludzie podobni panu Janowi udają się z konieczności po ratunek do lichwiarzy.

Jest w tym obrazie wiele prawdy, my bowiem własnoręcznie skręcamy na siebie moc biczy i biczyków, z pomocą których zachęcamy się następnie do rzucenia się w objęcia lichwiarskie, narzekając iż fatalność popycha nas do tego. Natomiast autor nie umie wytłomaczyć nam różnicy między starcem a młodem pokoleniem spekulantów. Różnica ta nie polega bynajmniej — jak chce mieć autor — na wyższości moralnej starych Manelesów nad młodymi, ponieważ wyższość ta, istnieje tylko w wyobraźni autora. Etyka istotnie dostrzega różnicę między człowiekiem, żyjącym z pracy i takim, który żyje z kradzieży lub rozboju, lecz nie czyni najmniejszej między bandytą, rozbijającym karawany i takim, który napada pojedynczych podróżnych, między złodziejem, który przywłaszczył sobie jeden cekin i tym, który ukradł cały worek, ponieważ pierwszy drugiemu w intencyi dorównywa, a różnica tkwi w warunkach i okolicznościach przyjaznych lub nieprzyjaznych dla złodzieja.

Stary Maneles operował w czasach, kiedy produkcya rolna opierała się na pańszczyźnie, młody prowadzi swój interes teraz, kiedy robotnika trzeba opłacać i kiedy gospodarstwo wymaga nieustannych i znacznych nakładów, słowem, ten ostatni korzysta z zwiększonego, ogromnego zapotrzebowania kredytu, a braku źródeł taniego. Stary nie mógł mieć takich zysków, przeto nie ograniczał się do samej lichwy, łączył z nią handel i rozmaite spekulacye. Majątku jednak dorobił się niezłego, a droga, jaką do niego doszedł, od tej, jaką szedł syn jego, różni się o tyle, o ile różne były dla obu warunki społeczno-ekonomiczne. Z nieporównaną dobrodusznością nazywa autor starego Manelesa jednostką moralną, nieskończenie wyższą od tegoczesnych spekulantów, zaznaczając jednocześnie, że w czasie dorobku zdarzało mu się i oszukać i zedrzeć wielki procent „zwyczajnie jak w handelku." Po zlikwidowaniu interesów Maneles na starość poświęcił się „sprawom nabożnym," czytał Talmud, rozmyślał, moralizował i rozdzielał jałmużny między biednych. To wystarcza, aby autor oddał mu hołd jako „człowiekowi moralnemu." Dla nas zaś jest to obojętne, czy starość Manelesa była bardziej bogobojną, niż lata młode, rozumiemy bowiem, że lichwiarz filantrop stoi w jednym rzędzie z Rinaldinim miłującym wdowy i sieroty, obaj zaś stanowią anomalie, nadające się do studyów psycho-patologicznych. Osobniki takie nie mogą służyć za przedstawicieli grupy społecznej lub pewnego pokolenia ludzi. Autor dlatego właśnie pomylił się przy ocenieniu wartości moralnej Manelesa, że dostrzegłszy, iż między dawnymi a nowymi spekulantami istnieje jakaś różnica, lecz źle ją rozumiejąc, usiłował przytem podnieść ją do wysokości różnicy między całem starem a młodem pokoleniem żydów. I popełnił dwa błędy. Ani pierwsze, ani następne pokolenie nie składało się i nie składa wyłącznie ze spekulantów. Różnicy między starem a nowem nie tłomaczy formułka, której autor jest wyznawcą: starzy lepsi od młodych.

K.

LITERATURA FRANCUSKA.

Teodor Banville. — Albert Sorel: Madame de Staël. — Maxime du Camp. Teofil Gautier. — Ch. Richer. L'Amour.

Obecnie gdy klinika jest w modzie, gdy kłęby fenolu zapełniają atmosferę literacką, gdy każdy pisarz uważa sobie za obowiązek rozciągnąć się na stole analizy i pokazywać swe wnętrzności duchowe, śmierć Banville'a tak samo, jak i Feuilleta, przeszła prawie niepostrzeżenie.

Był to neoromantyk, członek Parnasu. Szkoła ta pogodziła się z losem. Blady i chudy poeta, o rozpaczliwej minie, jak gdyby pod wyszarzanym paltocikiem wszystkie lisy Sparty gryzły mu wnętrzności, oddawna wyszedł już z mody we Francyi. Ile chustek do nosa ówczesne pokolenie zniszczyło, jest to rzecz nie do obliczenia. Za to damy płakały, jak bobry, słuchając poematu o umierającym lub umarłym poecie. Przeciw tej stękającej elegii parnasowcy podnieśli bunt, rozwiany włos obcięli przyzwoicie i podczas gdy romantycy parskali śmiechem w nos konwencyjności, parnasowcy się ustatkowali — i dobrze im z tem. Większość z Parnasu przeszła już do Akademii, a jeżeli nie wszyscy jeszcze dopięli „nieśmiertelności," to nie ma już ani jednego prawie, któryby nie był udekorowany i nie spożywał w spokoju renty państwowej. Villiers de l'Isle Adam, Sully Prudhome, Leconte de l'Isle, Francis Coppée — *tous y ont passé.*

Takim pogodzonym z losem, romantykiem mieszczańskim był i T. Banville. Wraz ze wszystkimi parnasowcami oddawał się głównie „miłości pięknych form, pięknych wierszy i rymów."

Jako dziewiętnastoletni chłopiec napisał swe „Karyatydy," poświęcone kultowi kobiety, wina, liry i wogóle piękna we wszystkich jego zmysłowych przejawach i formach dość starych i oklepanych. Połowa wieku następnej działalności literackiej nic nowego do tych tonów zasadniczych nie dodała. Miłość, światło, róże — wszystko, co łechce ucho i pieści oko, podniebienie i dotyk — głównie może dotyk — stanowiło przedmiot jego zachwytów. Nie myślcie jednak, aby to był czysty poganizm, któremu można byłoby wiele, a poniekąd nawet i bezmyślność wybaczyć. O, nie! Póganizm swój umie on znakomicie pogodzić z katolicyzmem... „Rozkosz idei, rozkosz kolorów i dźwięków, rozkosz rymów i ody" miała go głównie pociągać. Najmniej, bądźcobądź, „rozkosz idei" — dodajmy — nie znamy bowiem poety, któryby mniej się uganiał za tym skarbem. Jest to swego rodzaju kunstmistrz, prestidigitator stylu, u którego myśl niknie, ginie w melodyjnym szmerze. „Rym jest wszystkiem" — oto estetyka Banville'a. „Il est impossible de manquer à la raison en rimant bien" — kto wygłaszał takie teorye, ten musiał, rozumie się, na każdym kroku poświęcać ideę dla efektu harmonijnego. Był on zakochany w spadku sylab i wyrazów, w muzyce wiersza, w fajerwerkach porównań, jakkolwiek często nadużywał hyperbol i wogóle środków plastycznych. Najlepsze są jego „Ody." Nowelki, komedyjki — wszystko to rzeczy mierne, robione dla chleba.

Zbiór „Wielkich pisarzy francuskich" zbogacił się dwiema nowemi bijografiami Teofila Gautier i pani de Staël. Pierwsza jest rzeczą zupełnie chybioną, gdyż autor M. du Camp napisał nie ocenę, lecz panegiryk w tonie lirycznym ze zwrotami w rodzaju następującego: „O Gautier, mon vieil ami..." Jest to wogóle rzecz bez wartości. Za to nową książkę A. Sorela francuska krytyka jednogłośnie nazywa najlepszą bijografią p. de Staël. Należy St. do tych natur, które nadzwyczaj trudno scharakteryzować. Rysy istotnej wielkości obok drobnych słabostek, szlachetność dążeń obok dziecinnej próżności, wybryki gorącego serca obok chłodnej refleksyi—wszystko to stanowi charakter złożony i nieokreślony. Sorel stara się właśnie dać obraz, któryby objmował wszystkie te cechy. Posłużyły mu bardzo w tym celu „Korynna" i „Dulfina," w których autorka, jak wiadomo, kreśli własny swój wizerunek. Długa lista jej kochanków rozpoczyna się hr. Guibertem. Pokochała go piętnastoletnią dziewczyną, ale wychowana w duchu religii i posłuszeństwa nie śmiała stawić oporu, gdy ją wydano w r. 1786 za barona de Staëla. Nieszczęsnym tym związkiem autor stara się objaśnić długi szereg następnych jej „upadków." Szczęściem wybuch Rewolucyi odwrócił jej uwagę od spraw osobistych. Niepowodzenie, jakie spotkało politykę jej ojca, Neckera i kochanka, Narbonne'a kazało jej „poznać istotne swe powołanie: należeć wciąż do partyi ofiar." Nic też dziwnego, iż w r. 92 stała się podejrzaną i musiała Paryż opuścić. Udała się do Anglii, aby zatrzeć wspomnienie o Narbonnie, który „przystępował wówczas do nowego rozdziału." Tam studyowała parlamentaryzm i szukała pociechy w miłości matki. „Ale losy p. de Staël — powiada autor — nie polegały na tem, aby się zaabsorbować w rodzinie i prostych przywiązaniach." Stąd nowy „upadek." Oto czemu zapłonęła tak silną miłością do Beniamina Constanta, tego Wertera o charakterze miękkim kobiety: Staëlowa kochała go z despotyzmem, który prędko dał mu się we znaki, ale bojaźń i brak charakteru nie pozwalały mu się oddalić w ciągu kilku lat. Psychologia tego stosunku świetnie przedstawiona została w jego „Adolfie." Tymczasem przyjaciele Staëlowej przyszli do władzy; wróciła ona do Paryża w r. 1797. Napoleona chciała początkowo oczarować. Sorel sądzi, iż pragnęła odegrać rolę Kleopatry wobec nowego Cezara. Starania jej spełzły wszakże na niczem. To też wkrótce go znienawidziła. Napoleon odpłacił się wzajemnością, zwłaszcza, że z jej salonu wychodziły napady na „świt tyranii." Było to w r. 1880— musiała znowu Paryż opuścić. Skorzystała z wygnania, aby napisać o „Literaturze i jej związkach z urządzeniami społecznemi." Znajdujemy tu kilka świetnych myśli, powtórzonych przez współczesną krytykę naukową — ale nic więcej. Nie znała literatury ani włoskiej, ani niemieckiej, ani greckiej, a chciała oprzeć na nich swe teorye. To też dzieło jej miało więcej znaczenia ze względu na swe liberalne tendencye. Pani de Staël swą opozycyą chciała się zemścić za to, iż nie była urzędową muzą nowego panowania. Tymczasem B. Constant odważył się nareszcie zrzucić jarzmo jej despotyzmu i także pocichu „przystąpić do nowego rozdziału." Zawód ten przyprawił ją o wiele bólu, z którego chciała się wyleczyć podróżą do Niemiec i Włoch. Tu rozpoczęła cenne swe niegdyś dzieło o „Niemczech" i napisała dwie nowe powieści, noszące czysto osobisty charakter. Ale gorące jej serce jeszcze się nie uspokoiło: zakochała się w kawalerze de Roca, o 20 lat młodszym od niej

i wkrótce potem wpadła w mistycyzm religijny. Podróż po Rosyi i Polsce nie wyleczyła jej. Wkrótce potem w lutym 1817 r. umarła.

Sorel stara się jeżeli nie usprawiedliwić to przynajmniej wytłomaczyć kilkakrotne „upadki“ — la cascade — znanej autorki. Przyczyny szuka w nieszczęśliwem małżeństwie. Zdaniem naszem kwestya ta daleko prościej się objaśnia. Nie było tu żadnych „upadków“ — ale najnaturalniejsze zwroty uczucia. Aby to zrozumieć posłuchajmy, co mówi znany fizyolog Ch. Richet o miłości *). Jest to, jego zdaniem, ten sam instynkt, który panuje w całej przyrodzie zwierzęcej. Dobór płciowy, sprawiający, iż wśród zwierząt rozmnażają się najlepsze tylko osobniki, w świecie ludzkim wykrzywiony został przez względy społeczne— posagi, stanowiska itd. — dzięki czemu najwięcej szans do rozmnażania się mają charłaki, wyniszczone, skrofuliczne i syfilityczne. Ale dobór ten nie zupełnie jeszcze zniknął ze świata ludzkiego. Przechował się np. w takiem uczuciu, jak zazdrość. Może ona być rozpatrywana, jako ślad współzawodnictwa między samcami, co np. widzimy u jeleni, które toczą śmiertelne boje o wyłączne posiadanie samicy. Jest to, zdaniem Richeta, chęć tryumfowania nad rywalami i to chęć tryumfowania wyłącznego zarówno w świecie ludzkim, jak zwierzęcym. Dalej zwierzę również, jak i człowiek, traci apetyt i sen, gdy się zakocha i wszystkie promienie jego ducha zbierają się w jednym punkcie — namiętności miłosnej. U dziewcząt wyraża się ona w nieokreślonym smutku, marzeniach, śmiechu i płaczu bezprzyczynowym. Inteligencya nietylko nie zmniejszyła instynktu u człowieka, przeciwnie, zwiększyła go, nadała mu tylko świadomość siebie i formy estetyczne.

Po zaspokojeniu żądz miłosnych następuje zmęczenie, zniechęcenie lub przynajmniej obojętność. I zwierzę i człowiek mają wówczas miny melancholijne. „In amore animal ferox, post amorem — triste“ powiadali rzymianie. Otóż rodzina — zdaniem Richeta — ma na celu wykonanie obowiązków względem dzieci, które inaczej zobojętniały ojciec porzuciłby. Jest to instytucya czysto społeczna. „W ten sposób powiemy — oświadcza Richet — pod strachem oskarżenia o bluźnierstwo, iż małżeństwo i miłość mają pochodzenie zupełnie różne. Miłość jest to uczucie głębokie instynktowne, które owłada duszą i ciałem, które posiada nas w całości. Małżeństwo jest wynalazkiem ludzkim... Jest rzeczą wprost niemożliwą porównywać uczucia, które ożywiają dwóch małżonków — zwłaszcza gdy pierwsze miesiące przeszły — z namiętnością dwojga kochanków. Nie probujmy nawet przeprowadzać porównania śmiesznego. Miłość nie jest ani wyższą, ani niższą od małżeństwa: jest to zupełnie inna rzecz.“ Pierwsza składa się z zapału i ognia, który często tem szybciej gaśnie, im więcej światła rzucał z początku, małżeństwo opiera się na przyjaźni, zaufaniu, szacunku i tym podobnych pobożnych uczuciach i ma na celu wychowanie dzieci. Tyle Richet. Gdyby namiętość raz tylko budziła się w człowieku i potem ustępowała przed innemi uczuciami, świat ten byłby najlepszym ze światów, ale niestety, tak nie jest. Pierś ludzka zdolna jest do peryodycznego odtwarzania miłosnych płomieni — bez końca. Urzędowa moralność może ten fakt ignorować, ale nie zniszczyć. Mężczyzna nie walczy też zazwyczaj z pokusą ani przed, ani po ożenieniu się. Kobieta, wychowana w szkole rutyny, bierności i tchórzowstwa na istotę banalną i nieznaczną, łatwiej się godzi ze swym losem. Nie znaczy to bynajmniej, aby natura w niej inaczej działała, niż w mężczyźnie, tylko natura wykrzywiona bywa przez więzy społeczne. Ale, jeżeli zwykłe śmiertelniczki łatwiej się poddają nieubłaganemu biegowi życia, to wybitniejsze indywidualizmy z drogi tej wyskakiwać wciąż muszą. Jest ona niewątpliwie zbyt ciasna! Toteż kobiety w rodzaju Staëlowej i G. Sand zajmują w kronice skandalicznej wybitne miejsce. I zupełnie niesłusznie! „Upadki“ pani de Staël byłyby upadkami tylko wówczas, gdyby naturalne swe popędy, w których nic złego niema, ukryć chciała pod jakimś płaszczykiem hipokryzyi gdyby wołała np. za światem, iż trzeba mieć tylko jednego męża, a pocichu oddawała się cudzołóztwu. W cudzołóztwie grzechem byłoby nie to, iż żyłaby z kochankiem, lecz to, iż żyłaby z legalnym swym mężem, nie kochając go. Ale ona wszystkiego tego nie czyniła. W stosunkach swych miłosnych kierowała się jedynie bezinteresownem uczuciem i to ją w zupełności oczyszcza i stawia o całe niebo wyżej od tych milionów „świętych małp z Benaresu, świadomych swej godności,“ jak Schopenhauer kobiety nazywał, chociażby one w życiu nie zakosztowały więcej nad jednego męża, za którego wyszły dla pozycyi i chociażby czerniciele Staëlowej wyliczali nam nie dziesięciu jej kochanków, lecz stu i więcej. *De gustibus* — bowiem — [illegible] *est disputandum.* Ale, zapomniałem jeszcze o „wychowawczych zadaniach rodziny.“ Zlituj się Boże! Był kiedyś przesąd, iż każda kobieta powinna być gospodynią i kucharką, dotychczas zaś ją uważają za wychowawczynię od urodzenia, a ojca za naturalnego pedagoga. Szczęściem pogląd ten należy już do czasów Pestalozziego. Nie ulega wątpliwości, że, jeżeli ktoś powołał do życia dziecko, to ma względem niego święte obowiązki. Ale wykonywać je już można za pośrednictwem specyalistów w odpowiednich zakładach. Trzeba więc tylko policzyć się z kieszenią przed powołaniem istoty do życia. Staëlowa mogła sobie na to pozwolić. Ot i wszystko.

L. W.

*) *Revue des deux mondes.* Marzec.

LITERATURA CZESKA.

Zibrt Czenlek. *Diejiny kroje w zemich czeskych až po walky husitske.* I Swazek. W Praze 1891 r.

Historya, uważana ongi za zbiór wiadomości o bitwach, traktatach i t. p. wypadkach politycznych, nie odpowiada już spółczesnemu postępowi, dla którego nie polityka, lecz kultura społeczna najżywotniejszym zda się być przedmiotem.

Wobec materyału kronikarskiego, zadawalającego się zapisywaniem czynów wojennych i fundacyj klasztornych, zadanie historyka, przedstawia niepokonane trudności. W braku odpowiednich źródeł badacz chwytać musi drobne wzmianki przy jakimś fakcie politycznym, rzucające pewne światło na szczegóły, które są celem jego poszukiwań. Częstokroć i sztuka, tudzież zabytki dawnej literatury wyręczać muszą głuche kronik milczenie.

Owóż uważając kulturę za mozajkę, złożoną z różnolitych kamyczków, w których po szczególe odbija się ogólna ornamentacya całości, radzi jesteśmy, gdy uczony pracę swoją poświęci zbadaniu jednego ogniwa z tego łańcucha faktów, wytworzonych bądź w pojęciach danego społeczeństwa, bądź też pod wpływem przyswojonych pierwiastków obcych. Nim atoli z przygotowanego materyału wzniesie się gmach wspaniały, zastanowimy się nieco nad książką dr. Zibrta, który cierpliwością i mozolnym trudem zebrał rozproszone po rozmaitych źródłach wzmianki i przedstawił nam obraz ubioru czeskiego aż do pierwszej połowy XIII w. Praca ta nader ważna i nieoceniona, zwłaszcza że odzież i ubiór, będące wynikiem wytwórczości domowej, być może wiernem kultury narodowej zwierciadłem. W piśmiennictwie czeskiem nie mieliśmy dotąd podobnego dzieła, dlatego pierwsza zasługa inicyatywy należy się w tym względzie p. Zibrtowi, który wspólnie z dr. Winterem obdarzyli nas tak pożądanym nabytkiem. Wydawnictwo składać się będzie z trzech tomów. Z tych I i III wyjdą z pod pióra dr. Z., II-gim zaś wyłącznie zajmie się dr. Winter. Liczne rysunki w tekście stanowią kopie z miniatur, monet, pieczęci, nadgrobków, malowideł ściennych itp. Autor przytoczył przeszło 140 źródeł i to z piśmiennictwa czeskiego, polskiego, ruskiego niemieckiego itd. Opierając się na archeologii, lingwistyce i paleontologii, dr. Z. wnosi, że czesi mieli od wieków swój ubiór narodowy, zbliżony krojem do szat innych ludów pobratymczych. Lecz konopie i wełna były najdawniejszymi materyałami odzieży. Kożuch i suknia w zamierzchłych czasach okrywały słowianina. Później płaszcz, obuwie i trzewiki (strzewic) zastąpiły nader pierwotne wyroby. Od cudzoziemców przejęli czesi koszulę (koszulja, nowsza koszile), znaną w wiekach średnich pod nazwą łacińską *casula*; następnie nakrycie głowy *klobúk, kobluk* (nowsza klobouk), przejęte prawdopodobnie ze Wschodu, czego dowodem tatarskie *kalpak* i tureckie *kalabuk.* Barwa biała i szara należy do charakterystycznych znamion ubioru, widocznych u wszystkich prawie słowian.

O ile wnosić można ze świadectw Długosza, słowianie za czasów pogańskich nosili długie włosy, później je zaś przystrzygiwali, gdyż kościół potępiał pierwotny sposób noszenia ich, nazywając to zwyczajem barbarzyńskim i pogańskim. Malowidła w kodeksie wyszehradzkim (XI w.) i wolfenbutelskim (XII w.) mogą być poniekąd świadectwem, że broda albo też wąsy nierzadkiem były u staroczechów zjawiskiem. Ciekawe pod względem ornamentacyi są pasy, spinki, zausznice, obrączki itp. ozdoby. O obuwiu, rękawiczkach i o szczegółach gotowalni pań i panien czeskich już nie wspominamy. Rozdziały o uzbrojeniu tudzież ubiorze książąt i królów czeskich stanowią jakoby uwieńczenie pracy p. Z. Od X do XIII w. ubiór warstw wyższych przedstawia cechy bizantynizmu, przekształconego zwłaszcza w XII i XIII w. pod wpływem wypraw krzyżowych. Szaty zwłaszcza książąt błyszczą od złota i drogich kamieni. Dodać tu należy, że wpływ bizantyński w kroju sukni czeskiej utrzymuje się współcześnie z architektoniką stylu romańskiego w budowlach. W XIII w. pod wpływem tak ważnej rewolucyi w dziejach kultury europejskiej, jak wyprawy krzyżowe, następuje przełom w ubiorze i w stylu architektonicznym. Tu i tam bizantynizm ustępuje miejsca innemu prądowi, uwidocznionemu w gotyku i feudalizmie. Miasta, zamienione na samodzielne rzeczpospolite, przez rozległy handel w związku hanzeatyckim, wytwarzają doskonalszą produkcyę i stają się schronieniem muz. Książęta, obdarzając osadników prawem magdeburskiem i bawarskiem, dawnych poddanych zamieniają na dzierżawców dziedzicznych. Padają pod siekierą odwieczne puszcze. Chłopstwo tłumami osiedla się po miastach, korzystając ze swobód z prawa niemieckiego płynących. Wszystkie te zjawiska przygotowały płonną nader glebę pod uprawę humanizmu w XVI st.

Z tego też powodu praca p. Z. zasługuje na obszerniejszą, niż w piśmie naszem wzmiankę i powinna zwrócić uwagę historyków i etnografów, dla których materyał w niej zebrany przyczynić się może do rozjaśnienia ciemnych stron życia społecznego w zamierzchłej przeszłości.

Justyn Feliks Gajsler.

NOWE KSIĄŻKI.

Pamiętnik fizyograficzny, wydawany przez A. Ślosarskiego i B. Znatowicza z zapomogi Kasy Mianowskiego ukazał się w tomie X. Olbrzymia ta książka, licząca blizko 500 stronic formatu ćwiartkowego i 29 tablic litografowanych, wypełniona jest pracami specyalnemi z zakresu meteorologii i hydrografii, geologii, chemii, botaniki, zoologii i antropologii. Znajdujemy tu rozprawy A. Pietkiewicza, J. Morozewicza, S. Kontkiewicza, K. Łapczyńskiego, K. Drymmera, B. Eichlera, F. Kwiecińskiego, F. Błońskiego, W. Kozłowskiego, M. Twardowskiej, A. Wałeckiego, A. Landego, H. Lindenfelda i J. Pietruszyńskiego, T. Dowgirda.

O. Leixner, *Wiek XIX*, obraz ważniejszych wypadków na tle cywilizacyi w dziedzinie historyi, sztuki, nauki, przemysłu i polityki, opracował według oryginału Fr. Rawita (Gawroński). Zeszyt I, nakład Gebethnera i Wolffa.

Nie jest to systematyczny wykład dziejów naszego stulecia, ale zestawienie ważniejszych jego momentów i osobistości, tu i owdzie uwydatnionych ilustracyami. Książka ta, będąc obrazkową kroniką, przypomina dzieło Onkena, tylko obejmuje obszerniejszy zakres i nie jest tak bogato wyposażona rysunkami. Całość ma się składać z 12 zeszytów.

C. Lombroso, *Człowiek zbrodniarz* w stosunku do antropologii, jurisprudencyi i dyscypliny więziennej, przełożył J. L. Popławski, tom I (nakład M. Wołowskiego).

Czytelnikom *Prawdy* nie jest obce ani to dzieło, ani teorya Lombrosa. Powtórzyć więc możemy tylko to, co dawniej wypowiedzieliśmy: wiele spostrzeżeń trafnych, wiele faktów ciekawych, ale też wiele wniosków ryzykownych i nieuzasadnionych.

Józef Długosz, *Prawo czynszowe*, tom I, Odessa.

Przedmiot tej pracy jest zarówno naukowo, jak praktycznie — ze względu na stosunki czynszownicze w zachodnich prowincyach Cesarstwa — ważny i ciekawy; książka p. D. zbogaca badania odnośne cennymi przyczynkami, ale jest ona raczej zbiorem notat, wypisów, wogóle garścią materyału, niż wywodem przetrawionym. Stanowi ona część rusztowania dla budowy, którą może ujrzymy w tomie następnym.

P. Montegazza, *Hygiena piękności*, Warszawa (nakład G. Centnerszwera).

„Kto ma zdrowie — powiada autor — przebiegł już większą połowę drogi, wiodącej do piękności.“ Udowodnieniem tej zasady zajmuje się przeważnie książka badacza włoskiego. Po za wskazówkami czysto hygienicznemi podaje on szereg przepisów, dotyczących zachowania piękności i staje jako doradca przy toalecie kobiet, które tem bezpieczniej słuchać go mogą, że ich jako sumienny uczony nie zwiedzie szarlataneryą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE

12 kwietnia.

Konkurs na pomnik Mozarta. — Projekty Hellmera i Tilgnera. — Zgwałcenie sprawiedliwości artystycznej i reakcya opinii publicznej.

Wiedeń roznamiętnia się od kilku tygodni sprawą artystyczną, której przebieg o tyle jest charakterystyczny dla stosunków tutejszych, iż warto się z nim zapoznać. Być może, iż niejeden z czytelników pomyśli sobie przytem: *tout comme chez nous!*

Już od lat kilku zbierano fundusze na pomnik Mozarta, który stanąć miał w otoczeniu opery nadwornej. Konkurs, rozpisany przed dwoma laty, nie doprowadził do wyniku pożądanego: rozdano nagrody i pochwały, lecz żadnego z nadesłanych modelów nie przeznaczono do wykonania, ogłoszono nowy konkurs na r. 1891. Tym razem współubiegali się wszyscy najwybitniejsi rzeźbiarze wiedeńscy z wyjątkiem Zumbuscha, a prócz nich legion mniej znanych artystów i młodych talentów. Wielka aula muzeum austryackiego na Stubenringu przepełniona była projektami. Jednak nie trudno było zoryentować się w tej masie i wybrać najcelniejsze. Przeważna ich większość bowiem nie odbiegła od szablonu: postumencik ozdobiony dwiema figurkami alegorycznemi, kompozytor na nim w postawie stojącej, posągowej. Kilku artystów ożywiło szablon ten skromną odmianą: Mozart, oparty o pianino, nachyla lekko głowę, wsłuchując się w dźwięki. Nadmieniamy, że pomysł ten miało z pół tuzina artystów.

Jeden tylko projekt wpadał w oko oryginalnością, konturami prawdziwie monumentalnymi i głębokością pomysłu. Architektura jego wyobrażała rodzaj świątyni otwartej: cztery smukłe kolumny koryncko, ustawione w półkole i spojone u góry belkowaniem lekkiem, uwieńczonem lirą. Na tle wdzięcznej architektury rysowała się postać kompozytora, siedzącego u pianina w chwili natchnienia. Udało się artyście uduchowić tę postać i przedstawić ją w chwili charakterystycznej dla kompozytora. Projekt ów przemawiał do rozumu i dobrego smaku i tem, że okazywał Mozarta nie pod gołem niebem na szczycie kolumny, lecz w przestrzeni ograniczonej, zamkniętej, w której mistrz zwykł pracować. Model profesora Hellmera był więc nietylko stanowczo najcelniejszym ze wszystkich nadesłanych na konkurs, lecz przedstawiał niemal idealne rozwiązanie zadania. Uznała to komisya złożona z prawdziwych znawców sztuk pięknych i przysądziła Hellmerowi pierwszą nagrodę. Były jeszcze dwie inne. Uczyniwszy zadość sumieniu artystycznemu, pomyśleli sędziowie o swych obowiązkach towarzyskich i stosunkach, przyznali je więc dwom najwybitniejszym ze współzawodników: Tilgnerowi i Weyrowi, pomimo że projekty tych panów bynajmniej nie stały na wysokości ich talentu i że plastyka monumentalna wogóle nie stanowi silnej ich strony. Tilgner jest najsłynniejszym dziś może portrecistą-rzeźbiarzem, Weyer — dekoratorem. Lecz opinia publiczna pobłażliwie zrozumiała względność sędziów dla tych świeczników świata artystycznego i nie zganiła postępowania komisyi, mimo iż sprawiedliwość estetyczna żądała pominięcia obu tych prac. Powszechne panowało zadowolenie, że tym razem nie zwyciężyła protekcya, że wielki kompozytor austryacki otrzyma pomnik stosowny, a Wiedeń ozdobiony będzie nowem dziełem, zarówno oryginalnem, jak pięknem. Przypuszczano bowiem, że projekt, uwieńczony pierwszą nagrodą, przeznaczony będzie do wykonania. Wprawdzie nieraz już się zdarzało, że na konkursie zwyciężył talent młody, wykonanie zaś oddawano potem artyście starszemu, mającemu stosunki wyrobione: lecz nikt nie przypuszczał, iżby Hellmera, profesora akademii, twórcę wielkiej grupy, zdobiącej fasadę parlamentu i pomnika uświetniającego odsiecz Wiednia, usunięto na bok. A przecież tak się stało. O wykonaniu zadecydować miał komitet zawiadujący funduszami na pomnik zebranymi. W komitecie tym Tilgner więcej miał przyjaciół, aniżeli Hellmer: drwiąc z opinii publicznej i z wymagań sumienia artystycznego, większość komitetu przyznała Tilgnerowi wykonanie pomnika. Wyrok ten oburzył wszystkie sfery stolicy. Wiedziano, że Tilgner cieszy się łaską dworu, że jest ulubieńcem arystokracyi i plutokracyi, wreszcie że żyje w przyjaźni z najbardziej wpływowymi krytykami: atoli wiedziano też, że projekt jego nietylko nie posiadał warunków prawdziwej monumentalności, lecz byłby raczej karykaturą Mozarta. Tilgner jest naturalistą, jego biusty portretowe odznaczają się niezwykłą wiernością. Słusznie więc cenią dzieło jego ci, którzy w dziedzinie portretu naturalizm uważają za wyłącznie uprawniony. Lecz wyobraźcie sobie zasadę naturalizmu zastosowaną do postaci kompozytora, którego się uczcić chce pomnikiem, i to zastosowaną w sposób przesadny! Tilgner zestawił rzekomo ze źródeł autentycznych postać swego Mozarta: nie przeglądaliśmy wszystkich portretów, zdjętych z mistrza za życia jego, wiemy jednak, że współcześni przyznawali postaci jego wdzięk a twarzy wyraz zajmujący. Mozart Tilgnera zaś, to nauczyciel wiejski, w stylu rysowników *Fliegende Blätter*. Z pod kapoty szerokiej sterczą nogi nadmiernie długie, a cieniutkie jak u bociana; pierś wklęsła, szyja wysoka, a na niej głowa olbrzymia, nieforemna, o długim nadmiernie nosie i oczach na wierzch wyłupionych. Taki to Mozart, oparty o pianino, wsłuchuje się w akord. Postument przytem barokowy o formach najzwyklejszych, ozdobiony gieniuszkami.

Bądź to, że Wiedeń nie o takim pomniku marzył dla najulubieńszego kompozytora, bądź to, że oburzyła go niesprawiedliwość, wyrządzona Hellmerowi, nie pomogła ogłuszająca reklama, urządzona przez przyjaciół Tilgnera w prasie. Dzienniki niezawisłe umieszczają codzień listy od publiczności, krytycy nieuprzedzeni naccchowali dosadnie postępowanie komitetu, a wreszcie zgorszone koła artystyczne wystąpiły ze zbiorową manifestacyą. Przodem poszła młodzież gorąca: uczniowie akademii sztuk pięknych i szkół przemysłowo-artystycznych, oraz całe młodsze pokolenie rzeźbiarzy ogłosili list otwarty, zaopatrzony licznymi podpisami, w którym przedstawili cały przebieg rzeczy w sposób śmiały i szczery, odwołując się do opinii publicznej, której wpływ powinien uniemożliwić przeprowadzenie uchwały. Niebawem po tej manifestacyi zwołano nadzwyczajne zgromadzenie najpoważniejszego stowarzyszenia artystów wiedeńskich (Künstlergenossenschaft). Tu rozprawiać musiano w sposób nieco względniejszy, ale uchwalono, iż dla zapobieżenia podobnym zajściom, jak przy konkursie na pomnik Mozarta, komisya sądząca należeć powinna w przyszłości do komitetu decydującego o wykonaniu, a projekt, odznaczony pierwszą nagrodą, ma być polecony do wykonania. Lecz cały ten nacisk opinii powszechnej nie zmienił stanu rzeczy. Mówiono przez czas jakiś, że Tilgner dobrowolnie zrezygnuje ze swego prawa, nie chcąc narazić się na niepopularność. Komitet, poruczając mu wykonanie pomnika, zastrzegł wyraźnie, że projekt pierwotny znacznie ma być zmieniony: lecz postać główna, którą przyjaciele Tilgnera tak się zachwycali, ma być wykonana według myśli artysty, którego nazywają: „Mozartem plastyki...“

Słwosz.

LIBERUM VETO.

(Nad grobem Barnuma).

Barnum, genijalny wyobraziciel naszego wieku, wielki twórca wszechświatowej sławy wężów, słoni, małp, ludzi — umarł. Naturalnie mówimy: umarł, wierząc doniesieniom gazeciarskim, ale nie nam nie ręczy, że jutro mniemany nieboszczyk nie ukaże się i nie zawoła: moja klepsydra pogrzebowa była tylko afiszem reklamowym; Barnum żyje i pokaże wam słonia cudniejszego, niż był Jumbo. Chociaż z drugiej strony mógł umrzeć, gdyż urodził się w r. 1810, a pomimo swej nieśmiertelności na-

leżał do śmiertelnych. Tak, był to człowiek olbrzymi! Jeżeli historya, opisując nasze czasy, mówić będzie o Bismarku, Marxie, Parnelu, W. Hugo, Matejce, a pominie Barnuma, popełni wielką niesprawiedliwość; bardziej bowiem, niż wielu mężów najznakomitszych, przedstawiał on — jak by powiedział Koronowicz — „słowo dziejów“ obecnej epoki. Gdyby zaś przyszły bijolog potrzebował znamiennych zębów dla odtworzenia sposobem Cuviera szkieletu typów kultury końca XIX stulecia, wystarczyłyby mu dwie: Bismark i Barnum. Dwaj ci ludzie podzielili się światem: jeden ujął nad nim władzę siły, drugi — władzę reklamy. Obaj przytem odzwierciedlili się w milionach istot sobie podobnych, działających według praw ich natury i nadających całemu okresowi czasu właściwy koloryt. Tym razem pomińmy pierwszego i zastanówmy się nad drugim. Jeżeli Barnum nie poprzestał na przedsiębiorstwach, drażniących ciekawość ludzką, na obwożeniu ciekawych ludzi i zwierząt, lecz wkroczył do literatury z szeregiem książek p. t. „Walki i zwycięztwa,“ „Zdobywanie pieniędzy,“ „Humbug świata“ itp. — to dowodzi, że on ten świat zrozumiał, był tłomaczem jego myśli i upodobań. I rzeczywiście, co dziś nie stoi na humbugu, na reklamie, na tej zasadzie, którą rzymianie wyrazili w słowach: „świat chce być, więc jest oszukiwany,“ a którą Barnum najszerzej i najumiejętniej zastosował? Zedrzyjmy tylko lekkie zasłony z życia w paru punktach. Zdawałoby się np. że samorząd w państwach konstytucyjnych spoczywa na podstawach realnych, niezależnych od wszelkiego obełgiwania. Co pewien czas naród mocą niewzruszonego prawa wybiera sobie przedstawicieli, którzy wyrażają jego pragnienia i bronią jego interesów. Tymczasem Barnum, patrząc na widowiska parlamentarne, uśmiechał się złośliwie i mówił: humbug... Bo dlaczegoż stronnictwa polityczne zbierają i poświecają ogromne sumy na agitacyę wyborczą; dla czego kandydat bogaty pokonywa biedaka; dlaczego zanim naród pójdzie ze swymi głosami do urny wyborczej, przeczyta miliony różnobarwnych afiszów, zachwalających mu jednego akrobatę sejmu, a potępiających innego? Czy tak by wyglądał każdy parlament, jak wygląda, gdyby go wybrano bez agitacyi, plakat, reklamy w pismach i wszelkich środków barnumizmu? Bynajmniej. Mandaty poselskie rozdaje tylko wszechwładny humbug.

A może jest od niego niezależna sztuka — „kraina ideałów i piękna“? Stwórzcie, co wam się podoba: poemat bez uczucia, obraz bez barw, powieść bez sensu, rzeźbę bez kształtów — jeżeli Barnumowie prasy ogłoszą waszą pracę za arcydzieło, przez cały czas trwania ich wpływu będzie ona arcydziełem. Daremnie opierałby się im rozsądek ogółu: przekonają go, obałamucą, zdurzą, zahypnotyzują, zakrzyczą, każą mu to widzieć, czego on nie widzi, nie pozwolą samodzielnie myśleć, zmuszą go, jeżeli zechcą, do podziwu, uwielbień i hołdu dla zwykłego kurzego jajka. Daremnie wtedy jednostki, które z potopu reklamy ocaliły swój rozum, będą tonącym w niej tłomaczyć, radzić, uświadamiać, zdzierać łuski z oczu — nie zwyciężą legii Barnuma. Jak pod naciskiem woli hypnotyzera medium odbywa wszelkie czynności, których by z własnej chęci nie wykonało, widzi w koniu arfę, w myszy — słowika, w szczotce — różę, tak pod naciskiem reklamy ogół doznaje wszelkich złudzeń wzroku, słuchu, uczucia i rozumu. Będzie unosił się nad pięknem brzydoty, mądrością idyotyzmu, szlachetnością nikczemności, artyzmem tandety. Jeżeli tylko poddany zostanie odpowiedniej suggestyi, we wszystko uwierzy. Rozbicki zdołał ledwie szczupłą gromadkę przekonać, że układał znakomite wiersze, bo sam był małym Barnumem i nie dostał się w ręce większemu, który mu niewątpliwie wyrobiłby szeroką sławę. Każdy poeta, malarz, rzeźbiarz, powieściopisarz, który niema swego Barnuma, jest dla współczesnych tyle wart, co świergocący na drzewie szczygieł lub kukawka. Tłum sam nie sądzi, nie ocenia, nie chwali i nie gani; on czyta afisze rozlepione na ulicach i drukowane w pismach, z nich dowiaduje się, co ma lubić, czego pożądać. Termometr wskazuje mu temperaturę, kalendarz — dni pracy i odpoczynku, reklama — wartość książki lub widowiska. Dziesięciu reporterów może odwrócić uwagę milionów od Beethovena i skierować ją na Pieśnickiego, strącić z tronu Shakespeare'a, a ukoronować Lindaua. Kiedy pchany siłami barnumizmu potok opinii publicznej pędzi, unosząc z sobą masy ludzi, stojący nad jego brzegiem mędrcy usiłują go zatamować lub przynajmniej ostrzedz naiwnych. Ale Barnum śmieje się z tych wysiłków i wiezie swoje rzesze na olbrzymich statkach, których koła i szruby obraca para blagi.

Żegluje on zaś z jednakiem powodzeniem po wszystkich wodach życia. Pieniądz jest mimozą, zamyka się przed najlżejszem dotknięciem, a otwiera tylko pod promieniami pewnego zysku. Jest to kwiat najstaranniej pielęgnowany przez ludzi, a jednakże Barnum umie go pozbawić wrażliwości. Wmówi on w nich reklamą, że renta gruntowa stanowi dla niego słabsze oparcie, niż kanał Panama i do tego kanału ściągnie miliony. Wiadomo, że w tej otchłani utonęły oszczędności niezamożnych francuzów dzięki płatnym przez Barnuma-Lessepsa reklamom dzienników dla tego przedsięwzięcia. Niedawno gazety paryskie zaczęły wzajemnie otwierać swoje skrytki i wydobywać z nich dochody nieprawe. Między innemi zdradzono tajemnice *Petit Journala*, pisma rozchodzącego się w pół milionie egzemplarzów, które sprzedawało się rozmaitym Barnumom dla oszukania publiczności. Czy sądzicie, że opuścili go abonenci i potępiło zgorszone sumienie publiczne? Jakżeby media miały się gniewać na hypnotyzera!

Powiecie, że na giełdzie, na obrotach finansowych, na spekulacyach pieniężnych nie każdy się zna, więc może łatwo wpadać w pułapki, których nie widzi. Dobrze. Ale zgodzicie się zapewne, że niema człowieka, bywającego w teatrze, któryby nie sądził— i to poniekąd słusznie — że zna się na aktorach. A jednakże we wszystkich miastach europejskich istnieje uorganizowana „klaka,“ której opłacać się muszą najznakomitsi artyści, niektórzy tak drogo, że oddają jej prawie całe wielkie pensye. Dla zyskania sobie sławy na scenie nie wystarcza najcudowniejszy głos lub natchniona gra, trzeba jeszcze, ażeby w teatrze było grono hypnotyzerów, którzy oklaskami i krzykami zamieniają widzów i słuchaczów na media podziwiające. U nas, gdzie życie we wszystkich stosunkach jest miniaturowe, klaka nie wytworzyła się jako instytucya, a składany jej haracz zastępują wdzięczne uściski i uśmiechy do młodzików lub gratisowe bilety; ale zagranica nie bawi się w takie sentymenty. Tam aktorów i aktorki bierze w swą opiekę Barnum, który za pewnem umówionem wynagrodzeniem wysyła do teatru oddział swoich agentów, obowiązanych wrzeszczeć i bić w dłonie po każdem ukazaniu się protegowanych. Siedzący w lożach, krzesłach i na galeryach filistrowie ulegają powoli hypnotyzmowi klaki i są najmocniej przekonani, że ich zachwyca to, co ona zawzięcie oklaskuje; więc równiéż objawiają swoje zadowolenie i powiększają jej siły. Czulsi, patrząc ku górze teatralnej, z której ciągle zlatuje huragan oklasków, myślą sobie: ile ta gorąca młodzież ma w sobie zapału dla sztuki! Są między nimi tacy, którzy wiedzą, że ową „gorącą młodzież“ stanowi oddział klaki, ale co to ich obchodzi? Po przebudzeniu się medium także wie, że butelka, którą hypnotyzer kazał mu uznać za gruszkę, nie jest gruszką, w danej chwili wszakże tak się przedstawiała. Łatwiej zaś wmówić w kogoś, że artystka z kocim głosem ładnie śpiewa, niż że butelka jest jakimkolwiek owocem.

Rozprawiano dawniej o wartościach bezwzględnych i względnych, rozprawiano później o użytkowych i zamiennych, Barnum wprowadził nowe — wartości wmówione. Okazywał np. słonia Jumbo, rzeczywiście pięknego i mądrego, ale zapomocą wszelkich sposobów reklamy wmawiał w widzów, że słoń ten jest cudem natury, że daje najwyższe zadowolenie, że kto go nigdy nie oglądał, nie może być ani dumnym, ani szczęśliwym. Kiedy Boulanger przez bigos, którego Francyi nawarzył, stał się głośnym, Barnum chciał go na pewien czas wynająć i obwozić po świecie jako osobliwość i byłby zapomocą humbugu ściągnął masy ludzi, pragnących obejrzeć głupca i blagiera, który niczem się nie odznaczył. Ta sama myśl, chociaż nieśmiało, błysnęła w głowie genialnego reklamisty względem Bismarka; otwarcie zaś ją wypowiedział księciu Walii, którego również gotów był pokazywać za pieniądze. On bowiem każdą rzecz, każdą osobę ujmował nie ze strony rzeczywistego znaczenia, ale ze strony nadającej się do reklamy. Zrozumiał swoją epokę, stępioną we wszystkich uczuciach, skarlałą we wszystkich myślach, obojętną na wszystko, prócz przedmiotów ciekawości, i dlatego grał na tym jej nerwie. Doskonale pojmował, że za mało jest ludzi, którzyby uczcili istotne piękno, wiedzę, mądrość, że natomiast olbrzymia masa ich, zahypnotyzowana reklamą, podziwiać będzie nawet głupstwo i brzydotę, chętnie i szczodrze płacąc za swoje złudzenia. Były czasy rycerzów, fanatyków, artystów, filozofów, teraz nastały czasy gapiów. Trzeba więc ich zadowolić, a uczynić to można tylko suggestyą afiszową, tylko zuchwałym, krzykliwym, teroryzującym humbugiem.

Każdy wielki człowiek rodzi się z tych nasion, które spoczywają w jego współczesności i nawzajem zostawia po sobie niezliczone potomstwo. Barnum jest synem swojej epoki a ojcem legionu reklamistów, którzy wyzyskują świat. Tłumom zdaje się, że one to lubią, to kupują, to czytają i myślą, co przemawia do ich rozumu lub upodobania, tymczasem są tylko biernemi mediami humbugu. On je ubiera, karmi, bawi, on im wskazuje obrazy, kładzie do rąk książki, pisma peryodyczne, posyła je do kas teatralnych i koncertowych, nastraja ich mózgi i reguluje bicie serc. Skrzydłami zaś swemi obejmuje on całą przestrzeń cywilizacyi. Spotkacie go zarówno nad Sekwaną, Tamizą lub Dunajem, jak nad Wisłą. Pomyślcie tylko, co by się stało u nas, gdybyśmy zgasili jego ognie bengalskie, oświetlające każdy przedmiot scenioniy, gdybyśmy z pod nóg wytrącili jego szczudła, na których chodzą karły udające olbrzymów? Tak dalece zmieniłby się nagle widok życia, że nie rozpoznalibyśmy go: oceany skurczyłyby się do rozmiaru stawów, gwiazdy przedstawiłyby się jako blaszki, lwy przybrałyby postać kotów, mędrcy przybraliby minę żaków. A wtedy humbug, patrząc na ten przewrót i ruinę, miałby prawo zapytać: czyż nie jestem stworzycielem waszego świata?

Chociaż więc Barnum umarł, umarł tylko jako mieszkaniec Bridgeportu, jako najdoskonalsze wcielenie wielkiego ducha, który żyć będzie i unosić się długo jeszcze nad życiem cywilizowanej ludzkości, przyjmując mniej lub więcej uzdolnione postacie człowiecze. I w tej chwili przebywa on w wielu, może nie tak genialnych, jak Barnum, ale również spełniających jego przeznaczenia. Zacznijcie tylko rozglądać się wokoło: z trudem odnajdziecie gdzieś mądrość, cnotę, piękno, ale humbug spotkacie na każdym kroku: walczy, pracuje, zastawia sidła, knuje podstępy, albo przechadza

się dumny odniesionemi zwycięztwami. Nikt się tak szczerze nie śmieje i nikt tak istotnie nie tryumfuje, jak on.

Poseł Prawdy.

EMIGRACYA.

Warsz. Dniewnik zamieszcza następujący przyczynek do sprawy wychodźctwa:

W tych dniach do urzędu powiatowego w Sochaczewie przybył po powrocie z Brazylii stały mieszkaniec osady Hermanów, 23-letni Jan Funk, kawaler i zeznał: „Na okręcie, którym wyjechałem z Bremy do Brazylii, znajdowało się około 2,000 włościan emigrantów z Królestwa wraz z żonami i dziećmi. Podczas 32 dni podróży na okręcie żywiono nas suchem i cuchnącem mięsem, skutkiem czego wielu zachorowało, a umarła jedna kobieta i ośmioro dzieci. Po przybyciu do Rio-Janeiro szukałem roboty, wieśniacy zaś pospieszyli po obiecane im „majątki.“ Roboty nie mogłem znaleźć; przeszedłem od Rio-Janeiro przez Paranogua, Santa-Catharina i Rio-Grande-da-Sul, wydałem wszystko, co miałem i przekonałem się, że jedyną radą jest powrócić do kraju. Wieśniaków po kilku miesiącach zaopatrywano w łopaty i siekiery i dawano po 6 akrów ziemi i wspólne pastwisko. Ziemia tam jest najniewdzięczniejsza, skalista, same tylko góry i nieprzebyte lasy, cała koloru czerwonego, wydaje tylko kukurydzę i czarną fasolę, stanowiące tam jedyne pożywienie. Podczas całego mego pobytu nie widziałem w ręku naszych emigrantów ani pół morga zasianej albo przygotowanej pod zasiew ziemi. Znękani długą i ciężką podróżą, nieznośnym upałem, brakiem odpowiedniego pożywienia, pozbawieni pociechy religijnej, nieznający języka miejscowego, pogardzani przez ludność krajową, biedni wychodźcy poddają się rozpaczy. W Santa-Catharina trzy rodziny, złożone z siedmiu osób, powiesiły się z rozpaczy, a w Rio-Grande-da-Sul ojciec rodziny zarżnął żonę, pięcioro dzieci i sam sobie życie odebrał. Drożyzna jest tak wielka, że funt ryżu kosztuje 60 kop., funt chleba z kukurydzy 35 kop., 13 kartofli pół rubla. Emigranci, doprowadzeni do rozpaczy, szemrzą i grożą zemstą agentom, tak, że w przyszłości blizkiej można się spodziewać poważnych zaburzeń.“

Wiek zamieszcza list niejakiego Franciszka Nejmana, pisany do matki i teściowej (we wsi Smólnia, pow. sierpecki, gub. płocka), w którym czytamy:

Przez wodę przejechaliśmy szczęśliwie i do tego przy dobrem, zdrowiu — i do tej pory jesteśmy z żoną dzięki Bogu zdrowi, czego i wam życzymy. — Nasz kraj dla nas najkochańszy i najlepszy.—Jeżeli macie jakie takie utrzymanie to się nie wydalajcie nigdzie. — Jechalim bez wodę dni 20 i bez drugą wodę dwa dni i trzy noce — i do tej pory jeszcze nie robiemy we swojem gruncie, dopiero zaczniemy robić w lutym —Nagnali nas w takie wielkie góry i doły, że u nas nikt nie widział — i do tej pory robimy drogę i nam płacą dziennie. Bardzo mamy kiepskie życie, bo niema zboża naszego tylko kukurydza i mandziocha i wódka z drzewa—cukier i herbata ze zielicha — zupełnie tak żyjemy, jak dziki naród, co go w Brazylii bardzo dużo jest —i musiemy go się bardzo boić, z fuzyą spać i robić wiecznie. Na każdym kroku się boi — bo mają taką strzelbę co człowieka o 300 kroków zabije—Żmije takie wielkie i bardzo dużo na drogę wychodzą,—Na każdem z nas robaki takie, że nam włażą za skórę—i jeden potrafi zrobić sto robaków—Skoro się za skórę dostanie, to go zaraz trzeba wykuwać—Dużo jest słoni, małpów, niedźwiedzi, lampardów i tygrysów—a jaszczury tak wielkie jak noga człowieka.

Do tej pory jesteśmy w kupie, ale jak się rozejdziemy na kolonje, jeden od drugiego będzie daleko, to trzeba umrzeć od strachu, bo już o parę kroków, to już pomiędzy drzewa jeden drugiego nie widzi.

W styczniu i lutym deszcze padają codzień — grzmoty i błyskawice takie, o jakich u nas nie słychać—kościoły bardzo rzadkie—od nas do kościoła dobre 5 mil—Ksiądz jest ale go nierozumiemy i całkiem żadnego języka nie rozumiemy tylko swój polski—i ani Brazylianty także nas nie rozumieją, tylko się na migach rozmawiamy i dla tego będzie nam bardzo przykro jak nas na koloniach osadzą—Kłaniam się moje nałukochańsza matko i pozdrawiam z naszem dzieckiem—a nasz los to jest bardzo opłakany, a już się chyba nie wrócimy za żywota. Do Brazylii to się było łatwo dostać, ale z Brazylii bardzo trudno—trzeba na to pieniędzy, a tu nie ma żadnego grosza, co zarobimy to przejemy — jeżelibym miał sto talarów pruskich, to chciażbym sam jeden chciał się do was przedostać, a potem żonę zamnąbym przesłali.

W niedoli i smutku to człowiek probuje rozmaicie. Chciałem do Port-Ameryki, to także musiałbym jechać do Bremu, inaczej się nie dostanie a przytem teraz i tam kiepsko. Zawiadomili nas że w kraju jest wielka wojna, więc nam donieście o tem—Gorąco proście i ja będę prosił wraz z Wami abym się mógł wydostać z tej niewoli—bo chociaż tu kościoły rzadko ale o Bogu nie zapominamy.—Bardzo Matki proszę o to, aby Matka ten list doręczyła Józefowi Kuźniewskiemu i Franciszkowi Bartkowskiemu, których żonę i dzieci pozdrawiam—Niech kochana siostra pozostanie w Polsce, bo ja mam los opłakany.

Dnia 1 lutego 1891 roku

ja Franciszek Nejman.

KRONIKA.

Wyjaśnienie. Z powodu wzmianki w nr. 11 *Prawdy*, odbieramy list następujący:

Fabryki „Huta Bankowa“ w Dąbrowie górniczej należą wyłącznie do towarzystwa francuskiego, a nie francusko-włoskiego; to ostatnie zaś jest w posiadaniu wyłącznie kopalń węgla i nie ma z innemi fabrykami nic wspólnego.

Towarzystwo fabryk „Huta Bankowa“ nie przenosi nietylko „części,“ ale nawet najmniejszej cząstki swoich zakładów nad Dnieprem, zakłada tam jedynie tego samego rodzaju fabryki obok istniejących w Dąbrowie Górniczej. Otworzenie nowych nad Dnieprem w niczem nie zmniejszy zakresu działalności wytwórczej fabryk w Dąbrowie i możemy mieć niepłonną nadzieję, że rozpalając tam hutnicze nasze ogniska, nie będziemy zmuszeni do równoczesnego gaszenia ich u nas. Rozwinięcie działalności nad Dnieprem umożliwi nam wykonywanie dla Cesarstwa owych licznych obstalunków, których obecnie nie możemy nawet w połowie przyjmować z powodu nadmiaru zapotrzebowań. Tak więc, zakłady nasze rozszerzają tylko a nie przenoszą swą działalność, a rozwój ich nad Dnieprem nie wywoła zmniejszenia w Dąbrowie produkcyi nawet o siłę pracy jednego robotnika. Ubędzie od nas, co najwyżej, kilku inżenierów, zatrudnionych czasowo, w celu wyrobienia ich praktycznego, pod kierunkiem zagranicznych — francuskich, belgijskich, niemieckich.

R. G.

Sprawy społeczne. Na urządzenie zakładu dla sierot w kolonii Drewnica zebrano 13,200 rs.

— Od 1 lipca będą zbierane wiadomości o liczbie żydów w gub. petersburskiej, nowogrodzkiej i pskowskiej dla zbadania, na jakiej zasadzie oni tam zamieszkali.

— Powstał projekt zawiązania Towarzysta wzajemnej pomocy notaryuszów. Istnieje ich w Rosyi przeszło 1,000 z kaucyą przeszło 3,500,000 rs.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła projekt utworzenia przy przytułkach położniczych osobnych oddziałów dla mamek. Na początek sposobem próby wkrótce otwarty będzie taki oddział przy przytułku nr. 5 pod kierunkiem d-ra Gulińskiego.

— Z rozporządzenia policyjnego zamknięto przy ul. Nowowiejskiej prywatny przytułek położniczy, jako nieodpowiadający warunkom zdrowotnym.

— Wkrótce ma powstać w Petersburgu Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia urzędników na wypadek utraty posady. Każdy członek obowiązany będzie wnosić do kasy najmniej rs. 1 miesięcznie, za co otrzyma prawo, w razie utraty miejsca, do jednorazowej zapomogi, odpowiadającej wysokości złożonego przezeń kapitału.

— Towarzystwo pomocy dla włościan, emigrujących do wschodnich kresów państwa utworzyło się w Petersburgu.

— Sąd okręgowy w Mińsku gubernialnym uniewinnił pięciu włościan, oskarżonych o zabójstwo koniokrada, schwytanego na gorącym uczynku. Prokurator zrzekł się oskarżenia na zasadzie tego, że zabójstwo dokonane było w zamieszaniu przez tłum cały, zaś oskarżeni byli jedynie uczestnikami sprawy, za co odpowiadać jako zabójcy nie mogą.

— Zarząd Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie podał projekt, aby pożyczkę udzieloną urzędnikom dyrekcyi głównej i szczegółowej w kwocie rs. 40,000 i 8,000 na spłatę długów lichwiarskich, rozciągnąć także na urzędników dyrekcyj szczegółowych na prowincyi.

— Zmarły w Wilnie K. Jagiełło poczynił zapisy: 5,000 rs. na uczniów gimnazyum, 3,000 na seminaryum, 2,000 dla Towarz. dobroczynności, 5,000 na orkiestrę w katedrze i 3,000 na kościół.

— Towarzystwo oświaty ludowej we Lwowie założyło w r. z. 33 nowych czytelni.

— Dn. 1 lipca r. b. otwarty będzie zakład dla dziewcząt zaniedbanych w Łagiewnikach pod Krakowem.

— Prowincyonalny sejm poznański przeznaczył 20,000 marek na wsparcie dla powodzian.

— Stałemu wydziałowi rady gospodarczej we Lwowie polecono wypracowanie na najbliższą sesyę projektu organizacyi domów pracy przymusowej i kolonij rolnych.

— Wkrótce się rozpocznie budowa gmachu nowego teatru w Krakowie.

— Policya lwowska aresztowała żyda i żydówkę, trudniących się oddawna wywożeniem dziewcząt do domów rozpusty w Turcyi. Aresztowani kupili sobie majątek za pieniądze uzbierane tą drogą.

— Z Poznania telegrafują do pism warszawskich, iż po kontroli wojskowej w Budzyniu przyszło do starcia pomiędzy rezerwistami i landwerzystami a żandarmami. Jeden z tych ostatnich wystrzałem z rewolweru śmiertelnie zranił parobka ze wsi Ostrówka. Dla utrzymania spokoju sprowadzono żandarmów z Chodzieży.

Szkoły. Opłata roczna za uczęszczanie do Instytutu weterynaryjnego w Warszawie podniesiona będzie z 25 na 50 rs.

— W ministeryum dóbr państwa złożono projekt pierwszej w obrębie państwa prywatnej szkoły leśnej.

— Egzaminy tegoroczne w prywatnych zakładach naukowych w Warszawie rozpoczną się 13 maja.

— Na kolei Wiedeńskiej studenci i uczniowie szkół średnich tudzież seminaryów duchownych korzystają z biletów o 75% tańszych w wagonach klasy II i III wszelkich pociągów, oprócz kuryerskich. Na kolei Terespolskiej ci sami wychowańcy mogą korzystać z ulg powyższych na wszystkich pociągach. Wymagane jest przedstawienie świadectwa władzy szkolnej.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż młodzi ludzie, mający roczne prolongaty dla spełnienia służby wojskowej z powodu niezupełnego rozwinięcia fizycznego, mogą być przyjmowani do zakładów naukowych, lecz powinni po upływie roku stanąć do superrewizyi i odbycia służby, gdyż z prawa odroczenia terminu korzystać nie mogą. Prawo to posiadają ci tylko wychowańcy, którzy przed dojściem do wieku popisowego wstąpili do zakładów naukowych.

— Latem odbędzie się zjazd inspektorów szkół ludowych w gub. petersburskiej, nowogrodzkiej, moskiewskiej i innych przyległych, w celu opracowania nowego programu tych zakładów.

— W ciągu r. b. ministeryum dóbr państwa otworzy około 20-tu nowych szkół rolniczych w różnych punktach państwa, przeważnie w kraju Południowo-Zachodnim.

— W gub. kostromskiej postanowiono otworzyć szkołę pszczelnictwa.

— W Kownie powstanie szkoła dla niewidomych z funduszów prywatnych.

— Kursy wyższe dla kobiet (d-ra Baranieckiego) przy Muzeum technicznem w Krakowie, mają być zamknięte z dn. 1-ym lipca r. b.

Odczyty. W dalszym ciągu pogadanek publicznych na dochód Osad Rolnych dr. H. Nussbaum podjął wykład o budowie i mechanizmie ciała ludzkiego. Lekcye swoje wypowiedział z gruntowną znajomością przedmiotu i niepospolitym talentem popularyzacyjnym.

Sprawy kolejowe. Z inicyatywy prezesa kolei Wiedeńskiej postanowiono zbadać przyczyny częstych wy-

padków śmierci lub kalectwa przy ustawianiu i łączeniu wagonów.

— Ogólnym zebraniom akcyonaryuszów towarzystw kolejowych w r. b. przedstawiona będzie do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawa zniżenia ceny biletów pasażerskich w wagonach klasy 3-ej, tudzież wprowadzenia ruchu osobowego w wagonach klasy 4-ej za opłatą ¾ kop. od wiorsty, bez pobierania podatku skarbowego.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich [illegible] na główniejszych stacyach urządzić biblioteczki dla oficyalistów kolejowych.

— Odnogę Ussuryjską kolei syberyjskich rząd postanowił budować sposobem administracyjnym. Towarzystwo francusko-ruskie proponuje objęcie budowy linii od Czelaby do Irkucka, zobowiązując się do ukończenia robót w ciągu [illegible] lat.

— Na kolei Dąbrowskiej znowu odkryto nadużycia z biletami. Skutkiem tego zawieszono w czynności nadkonduktora, kilku konduktorów, zawiadowcę stacyi Opoczno i kasyera.

— Na międzynarodową konferencyę kolejową, zapowiedzianą na 15 maja r. b. w Brukselli, ministeryum skarbu deleguje naczelnika wydziału w departamencie dróg żelaznych, p. Tyszyńskiego. Obrady dotyczyć będą bezpośredniej komunikacyi międzynarodowej dla podróżnych.

Wystawy. W Petersburgu otwarto wszechrosyjską wystawę koni, wystawę drobiu i wystawę fotografii.

Kredyt. W Warszawie poruszono sprawę założenia kasy pożyczkowej przemysłowców praskich. Wysokość wkładów 25 rs.

— Według *Kur. warsz.* sprawa koncesyi na Bank przemysłowy dla Królestwa Polskiego jest na dobrej drodze. Działalność jego ma być wyłącznie skierowana ku popieraniu przemysłu. Wszelkie zaś operacye ściśle finansowe, tudzież kredyt dla handlujących, nie będą dozwolone. Założeniem nowej instytucyi zajmuje się grupa kapitalistów belgijskich i francuskich, których przedstawicielem jest p. Silnicki.

Przemysł i handel. W osadzie Stryków pow. brzezińskim powstaje w tym roku tkalnia parowa wyrobów wełnianych.

— W gub. kaliskiej odkryto pokłady rudy żelaznej.

— Górale-koszykarze, mieszkający w Warszawie, zakładają wspólnemi siłami fabrykę swych wyrobów.

— Ostatecznie ma być rozstrzygnięta sprawa zniesienia miar w handlu zbożowym i zastąpienia ich wagami. Za niedokładność wagi handlujący podlegać będą karom.

— W gub. jenisejskiej w okolicach Krasnojarska powstaje pierwsza na Syberyi cukrownia.

Rolnictwo. Towarzystwo wolne-ekonomiczne w Petersburgu zamierza urządzić skład najlepszych nasion do siewu. Przed umieszczeniem w składzie nasion będą sortowane i oczyszczane. Będzie także oddział nasion leśnych.

— Ministeryum dóbr państwa urządzi kilka stacyj doświadczalnych, w celu wyświetlenia, o ile są przydatne w rolnictwie sztuczne nawozy mineralne.

— Do Towarzystwa wolno-ekonomicznego w Petersburgu wniesiono propozycyę zwołania w jesieni r. 1893 zjazdu gospodarzy wiejskich Rosyi środkowej i północnej.

— Rolnicy z okolic Kielc uskarżają się na szkody, wyrządzone przez zimę, szczególnie w zasiewach żyta. Skutkiem tego ceny zboża znacznie się podniosły.

Zdrowie publiczne. W Sosnowcu powstał projekt założenia Towarzystwa lekarzy fabrycznych w miejscowym okręgu przemysłowym. Instytucya taka miałaby na celu podniesienie stanu zdrowotnego robotników.

— W tych dniach komisye sanitarne skonfiskowały na targach warszawskich 218 funtów zepsutych wędlin, zaś w 15-tu zakładach spożywczych znalazły nieświeże produkty. Właściciele pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Wiadomości administracyjne. Na mocy nowego rozporządzenia zaszły zmiany w sposobie wypłacania emerytury z głównej izby skarbowej. Emerytura do 100 rs. rocznie wydawana będzie co cztery miesiące z góry; od 100—1000, co miesiąc, poczynając od 12-go starego stylu. Termin wypłaty przed większemi świętami powinien być przyśpieszony.

— Dla Finlandyi zatwierdzono nowe przepisy pocztowe, które wejdą w życie z dn. 1 maja (n. st.).

Wiadomości literackie. *Gazeta poznańska* przestała wychodzić.

— Powstała *Gazeta gdańska* z tendencyą religijną.

— *Nowosti* otrzymały drugie ostrzeżenie za traktowanie sprawy żydowskiej w sposób jaskrawy, szerzący niepokój śród ludności izraelskiej, tudzież za nieprzyjazne wyrażanie się względem każdego objawu uczucia narodowego ruskiego i zbyt śmiałe zapatrywanie się na rozporządzenia rządowe.

Zmarli. Władysław Chrośnikiewicz, zdolny rzeźbiarz i rysownik, właściciel pracowni kamieniarskiej w Krakowie, odebrał sobie życie.

— Stanisław Zawadzki, zasłużony prawnik i rejent. Przed trzydziestu laty wydał trzytomowy „Zbiór praw cywilnych," dzieło bardzo cenione przez prawników. Odznaczał się wielką ruchliwością w sprawach popierania instytucyj publicznych i przedsiębiorstw spółkowych.

— Adolf Fischer, w Brukselli; kompozytor i wiolonczelista belgijski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

D. *O. M.* Kuliczkowski, Spasowicz.

R. G. Dopóki istnieje tylko projekt, nie są oznaczone warunki wstępu.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

— Młody człowiek dla dokończenia studyów uniwersyteckich potrzebuje rs. 200. Ktoby mógł pożyczyć na termin dwuletni, raczy zgłosić się do Redakcyi.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 5 Апреля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.